

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Świątobliwa rodzina.



Każdy naród szczyci się swoimi bohaterami, którzy dla ojczyzny swej krew przelewali; szczyci się ludźmi, którzy piórem roznosili imię jego po całym świecie. Każdy naród szczyci się ludźmi takimi i z wdzięczności wznosi im cenne pomniki, nazywa ich imieniem ulice i place miejskie. A czyni to całkiem słusznie, bo nie każdemu danem jest wybić się na czoło swego narodu. Dochodzą tam tylko umysły najtęższe, talenty największe.

Ale choćby kto setki bitew wygrał w obronie ojczyzny, choćby kto najpiękniejszą książkę napisał lub najwspanialszy obraz wymalował, nigdy nie dokaże tyle, co ten, który świętością życia swojego doszedł do tej godności, iż mógł zostać policzony w poczet Świętych Pańskich.

I tak, my Polacy, jak mieliśmy niezrównanych bohaterów, jak mieliśmy przepięknie piszących poetów i powieściopisarzy, jak mieliśmy bardzo sławnych malarzy, tak samo mieliśmy wśród siebie świętych, których czcimy teraz na ołtarzach.

Przez całe pasmo historyi Polski przewijają się ludzie święci, począwszy od św. Wojciecha, aż do czasów ostatnich. Pośród tych świętych, pochodzących z pośród praojców naszych, jest kilku, którzy żyli równocześnie na ziemi a, co ciekawsze, pochodzili z jednej rodziny.

Była to świątobliwa rodzina Odrowążów.

Z rodziny tej pochodzili bracia św. Jacek i św. Czesław, oraz siostra ich św. Bronisława. Właśnie w pierwszą niedzielę po 15 sierpnia obchodzimy uroczystość św. Jacka.

Św. Jacek, ukończywszy nauki, został kanonikiem katedry krakowskiej a później wstąpił do klasztoru Dominikanów, gdzie wiódł życie bardzo surowe i odznaczał się wielkiem nabożeństwem do Matki Boskiej. Dlatego też już za życia dał mu Bóg moc czynienia cudów.

Opowiadają, że kiedy udawał się na misyę do Kijowa, miał się przeprawić przez Wisłę. Gdy stanął nad brzegiem, zobaczył, iż woda wezbrała nadzwyczaj, tak że o przejściu nie było mowy. Święty Jacek, ufny w pomoc Bożą, po gorliwej modlitwie rzucił płaszcz swój na wodę, wsiadł nań ze swymi towarzyszami i dostał się na drugi brzeg Wisły, nie zamoczywszy nawet nogi.

Po długiej i uciążliwej podróży, gdyż kolei ani dróg takich jak dziś wówczas nie było, dotarł do Kijowa, gdzie nauczał przez lat pięć. Tu zbudował klasztor Dominikanów.

W czasie tym napadli na Kijów Tatarzy, którzy, siejąc mord i pożogę, niczego nie oszczędzali. W jednej chwili otoczyli klasztor, w którym znajdował się święty Jacek. Jacek nie dbał o siebie, ani o swoje życie, ale całem staraniem jego było, aby uchronić Skarb najdroższy od zniewagi. Ufny, jak zawsze, w pomoc Bożą, ujął więc w jednę rękę Przenajświętszy Sakrament a w drugą alabastrową figurę Matki Boskiej i przeszedł bezpiecznie wśród barbarzyńców.

Gdy już był poza ich obozowiskiem, Tatarzy ochłonęli z jakiegoś niewytłómaczonego przestrachu, a sądząc, że św. Jacek uniósł jakieś klejnoty, poczęli go gonić. Lecz mąż ów święty znów rzucił na wodę Dniepru, nad którym go dopędzali, płaszcz swój i przeszedł po nim bezpiecznie na drugi brzeg, unikając pogoni.

Ziemię, na której my żyjemy, przeszedł święty Jacek całą, idąc do Kijowa. Stare podanie mówi, że w swej podróży, będąc bardzo zmęczony, zatrzymał się w tej okolicy, gdzie dziś znajduje się wieś Będziemyśl, niedaleko Sędziszowa, w powiecie ropczyckim. Usiadł tam na wzgórku, gdzie dziś stoi kaplica, posilił się, ale o wytchnieniu nie było mowy, gdyż upał panował okrutny. Aby temu zapobiedz, przełamał swą laske lipową na dwoje i kawałki jej wbił w ziemię. Natychmiast z owej laski wystrzeliły bujne pędy, pokryły się liśćmi i wyrosły w drzewa, w cieniu których św. Jacek znalazł ochłodę. Lipy owe podobno do dziś dnia jeszcze rosną, choć minęło od owej chwili około 650 lat.

Dzień śmierci mąż ów święty sam sobie naprzód przepowiedział. Po świętem życiu umarł 15 sierpnia 1257 roku.

Z tej samej rodziny pochodził Iwo Odrowąż, ów sławny i świątobliwy biskup, który wybudował kościół N. Maryi Panny w Krakowie. Był on stryjem św. Jacka.

Dzisiejszy kościół Panny Maryi w Krakowie nie jest tym, który budował biskup Iwo, gdyż od tego czasu był już dwa razy przebudowany.

Rozbójnicze gniazdo.

VII.

Wyprawa Janasza na zwiady. — Niespodziewane obozowisko. — Duchy pod ziemią. — Wyjazd miecznikowej w okolicę. — Han-Kurhan. — W pogotowiu!

Dzień dżdżysty ku wieczorowi się nieco rozjaśnił; wiatr spędził resztę chmur z nieba. Zielonawy lazur ukazał się na zachodzie i ludzie na jutro obiecywali pogodę. Janasz rozpytał dokładnie Dorszaka, jakiemi drogami miał oprowadzać miecznikową, aby nazajutrz je zbadać. Podstarości zrazu sam mu się za przewodnika ofiarował, potem, po namyśle niejakim, nie upierał się przy tem, i rozpowiedziawszy drogi, chciał dać konnego parobka. Janasz i tego nie przyjął.

Granice gródeckich posiadłości z dawna były kamiennymi krzyżami poznaczone na sosnach, na dębach też były znaki, a zresztą łożyska strumieni stanowiły szlak łatwy do poznania. Janasz i Nikita, nie spuszczając się na opowiadanie Dorszaka, rozpytali się w mieście i nazajutrz do dnia, korzystając z pięknego ranka, ruszyli. Oprócz Nikity, wziął Janasz dwóch hajduków, a pozostałym polecił pilną straż na zamku. Spuszczali się od bramy ku mostowi, gdy ich Dorszak, ranniejszy od nich ptaszek, spotkał, już powracając z miasteczka.

— No! szczęśliwej drogi! — rzekł szydersko — abyście tylko przed nocą byli z powrotem, bo szmat jest do obejrzenia!

Janasz jechał, nic nie odpowiadając. Zaraz, miasteczko pominąwszy, wzięli się w góry i wjechali w wąwozy, któremi do granicy dostać się mieli. — Nikita obeznany przez ludzi miejscowych z okolicą, prowadził. Lecz zaledwie wjechali w cienisty parów, nad którym zwieszały się drzewa i gałęzie poplątane. Janasz, rozpytując o różne szczegóły, zagadał się z Nikitą, hajducy dopomogli do rozmowy i ani się spostrzegli, jak zamiast w lewo parowem, pojechali nim wprost przed siebie. Niepomału się też dziwili, gdy po przeszło godzinie drogi, gdzie mieli trafić na polany i stare szopy, a potem na mogiły, nie znaleźli ani jednych, ani drugich, a miasto tego kręty strumyczek, coraz węższy, zaprowadził ich w gąszcze, kędy się już niemal bez śladu drogi przeciskać było potrzeba.

I Janasz i Nikita poznali błąd, a nawracać im się nie chciało. W śmiech to puścili. Młodemu chłopakowi tak raźno było na koniu, w lesie, na wolnem powietrzu, w tej pustyni, że się wcale nie gniewał. Towarzysze też śmiali się z przygody.

Godzina druga upłynęła. Drapali się ku górze, potem jechali grzbietami, aż wreszcie poczęli się spuszczać ku dołowi przeciwnym temu stokiem, którym przybyli w tę dziką okolicę. Krzaki zaczęły rzednąć, a z za gałęzi przeglądał jakby step. Nikita poparł konia przodem, drudzy za nim, lecz o kilkanaście kroków stanął, w milczeniu nawołując ręką swoich. Czując już, że się cicho zachować należy, Janasz i dwaj hajducy przecisnęli się przez ostatnie krzaki nad urwiskiem i stanęli.

Przed nimi była szeroka dolina, ale tak samo jak gródecka wzgórzami, po większej części zarosłemi, otoczona. W drugim jej końcu pasł się tabun koni, kurzyły się ogniska i widać było parę stożkowatych namiotów.

Nikita, niewielki bywalec, nie mógł dobrze zrozumieć, co miało znaczyć to obozowisko. Janaszowi dosyć było, wspiąwszy się nieco na strzemionach, spojrzeć, aby poznać Tatarów. Nie widać ich tam było, ale namioty i konie zdradzały. W milczeniu, cofnąwszy się nieco w zarośla, patrzyli więc zdumieni, gdy Janasz dał znak do odwrotu i natychmiast znowu schowali się w gęstwinę.

Zdala dolatywało ich rżenie koni; lękali się, aby własne ich nie odpowiedziały tamtym, co byłoby zdradziło. A choć w gąszczu ukryć się i uciec mogli od pogoni, Janasz wolał być niepostrzeżonym. Nie mówiąc słowa, odjechali napowrót kawał drogi, nim skupiwszy się, znowu rozmawiać zaczęli.

— Tatarzy nieochybnie — rzekł Janasz. — Miarkując z liczby koni, niewiele ich tam być musi, bo zawsze we czwórnasób tyle u nich stadniny, co ludzi; a no, zawsze we czterech, choćby na czterdziestu naskoczyć, niezdrowo.

Na Janaszku nie uczyniło to spotkanie tak wielkiego wrażenia; przyrzekł sobie tylko miecznikowej nie puścić. Zdawało się, że rychło powinni powrócić do Gródka; lecz konie w lesie popaść musieli, a potem drogi szukać, i ledwie pod wieczór, wyjechawszy z wąwozów, ujrzeli zameczek przed sobą. — Słońce zachodziło, gdy do mostu zamkowego zbliżyli się. Tu stał Dorszak, jakby oczekując na nich. Janasz z konia zsiadł.

— A kędyż to pan bywał? jeżeli się zapytać wolno? — urągliwie zapytał Dorszak.

— Wstyd mi powiedzieć, ale kłamać nie lubię — rzekł Janasz — ani wiem kędym był. Tylko wiem, żem się z Tatarami spotkał.

Dorszak minę zrobił zdziwioną i osobliwszą.

— Gdybyś się pan z nimi spotkał — rzekł — tobyś tu na wieczór nie był.

— Jeśli chcesz prawdy szczerej, nie przyszło do spotkania, aleśmy obóz, konie i namioty doskonale widzieli.

— Gdzie? u nas? ponad granicą? Tatarzy? to nie może być!

Wszyscy razem gwarnie i wyprzedzając się, zaczęli mu potwierdzać. Dorszak się marszczył coraz bardziej.

— Bajka! jako żywo! To nie był obóz tatarski. U stracha wielkie oczy. To była straż pograniczna. Ja się waszmościom klnę, że to byli nasi. A że oni po tatarsku obozują, to prawda, i że obyczaje tutejsze przejęli, to też pewna. Niech pan z siebie śmiechu nie robi, mówiąc o Tatarach.

Pewność, z jaką to mówił Dorszak, oddalenie obozu, który zaledwie zdala dostrzedz mogli, pomimo niewielkiej ufności w podstarościego słowa, wpłynęły na to, że uwierzył i zamilkł Janasz. Ze spuszczoną głową powrócił młody do wieży, szukając zdala Jadzi, która pono, może z nudów w tej samotności, wyglądała go także oddawna. Spotkali się na górze w sali, gdzie pod ten czas miecznikowej nie było. Jadzia podbiegła aż do progu, podając rękę staremu przyjacielowi.

— Pan wiesz? — zawołała Jadzia — Dorszak żonę swoją nocą nie wiem dokąd wyprawił; niema jej na zamku.

— Straże całą noc stoją, nikt nie wyjeżdżał.

— Ale jej niema.

— Dziwna rzecz! — odparł Janasz.

Miecznikowa wyszedłszy niewiele się dowiedziała od Korczaka. Unikał on sam dłuższej rozmowy i wyszedł zaraz. Na dole czekał na niego Nikita.

— Paneczku, Dorszak kłamie — szepnął mu — to byli Tatarzy! Pytałem ludzi. Ale dlaczego on to kryje? Na co jemu potrzeba, żebyśmy my o Tatarach nie wiedzieli? Niech no pan wymiarkuje! To zły człowiek!

— Cicho do jutra! Jutro nas czterech, on jeden, zobaczymy! musi się to wyjaśnić.

— Ee! — mruknął Nikita — co to długo myśleć i mówić. To jawny zdrajca; jabym go w kij związał zaraz... a inaczejby się wszystko wyjaśniło. Póki on nas tumanić będzie, nigdy się prawdy nie dowiemy.

Na noc jak zwykle rozstawiono straże. Nikita je obchodził. Przededniem blady zbudził Janasza.

— A co? czas? — zawołał, zrywając się.

— Dosyć będzie czasu — odparł Nikita — a no co innego jest. Tu źle, tu wszystko źle — westchnął — tu dusze pokutują.

Wiara w te dusze jęczące, pokutujące i dopominające się modlitw u żyjących, naówczas była powszechna. Janasz tak dobrze wierzył w nie, jak i Nikita.

— Niech-no pan posłucha — mówił, zniżając głos i żegnając się. — Wiadomo panu, że ja nocką straże obchodzę, i dziś też trzy razy wstawałem, bo Hałaburda, aby siadł to śpi, a jak śpi, to można mu i buty pozdejmować, nie posłyszy. Właśnie byłem na straży, obchodzę popod murami zamek, dycht, jak się należy. Kiedy się zbliżam popod mur do dziedzińca, w rogu — cicho było, jak mak siał — słyszę, jakby pod mojemi nogami, jęczenie. Przeżegnałem się i plunąłem na marę. Mówię Zdrowaśkę. Słucham. Jęczy, ale tak jak z pod ziemi i tak jakby ludzki płaczliwy głos, a potem stukanie, niby podemną. Wszelki duch Boga chwali! włosy mi na głowie stały kołem. Mówię drugą Zdrowaśkę — jęczy. Nie wytrzymałem i uciekłem.

— Tchórz jesteś, wiatr wiał kędyś i wył — rzekł Janasz. — Prowadź mnie tam.

Nikita, choć wahając się, wstał i poszedł przodem. Ostrożnie zbliżył się do rogu muru. Janasz szedł w ślad za przewodnikiem. Stanęli. Nikita grubymi okutymi butami ledwie na bruk stąpił, gdy w istocie krzyk stłumiony, jakby wołanie odległe, słyszeć się dało. Nie można było rozpoznać dobrze, skąd wychodziło; zdawało się dobywać z pod ziemi.

Obu im włosy na głowie się jeżyły, poczęli się modlić po cichu.

Dniało zwolna i szare światło coraz wyraźniej dawało rozeznać przedmioty. Janasz usłyszał zarazem, że w pierwszem podwórzu ludzie już wstawali i brali się do koni; kazał więc Nikicie przygotowywać je dla siebie i ludzi. Ze smutnem jakiemś wrażeniem Korczak odziewać się począł. Gdy potem na znak, że konie gotowe, zeszedł na dół, znalazł Dorszaka już na siodle z fantazyą wielką, charty wyciągające się po śnie, przy nim, ludzi w gotowości — i pochmurnym rankiem, który jednak obiecywał pogodę, ruszyli na objazd granic.

Zostawione niemal po całych dniach samym sobie lub zabawiane staremi opowiadaniami, dobrze im znanemi, przez księdza Żudrę, miecznikowa i Jadzia nie nudziły się wcale. Przybyło im teraz zajęcie z uporządkowaniem tego zdobytego skarbczyka, który się w całości znalazł takim, jakim go właściciel opisał. Czyszczono klejnoty, zbutwiałe worki zastąpić musiano nowemi. Miecznikowa cieszyła się, że mężowi, który pod Wiedeń idąc, wiele grosza na ekwipowanie się wydać musiał — przywiezie łup zdobyty tak szczęśliwie na przeszłości.

Jadzia tego dnia trochę była niespokojna. Dlaczego? nie wiedziała sama. Prześladowała Janasza skórką zajęczą, ale się lękała za niego. Znała jego męstwo i zapał, a tyle mówiono o niebezpieczeństwach, że wreszcie gotowa była w nie uwierzyć. Ten brat jej i przyjaciel więcej ją obchodził, niż się przyznawała. Teraz z baszty spoglądając w dal, odgadnąć chciała, gdzie się on też mógł znajdować? Widziała jak z Dorszakiem wjechał kłusem w wąwóz i zniknął.

Dzień ten płynął powoli. Po obiedzie wyszła Jadzia znowu na drugą basztę karmić wróble szczątkami chleba od obiadu i wypatrywać powrotu. — Słońce zachodziło za góry zwolna, gdy z wąwozów ukazali się powracający. Przodem jechał Janasz z Dorszakiem, ludzie za nimi. W lesie znaleźli jeszcze zielone gałęzie ze świeżemi liśćmi i umaili sobie niemi kapelusze. Janasz spostrzegłszy znowu Jadzię, podniósł czapkę do góry, ona go ochoczo chustką białą witała. Popędzili kłusem ku mostowi i zamkowi.

— A! wróciliście przecie! — zawołała, zobaczywszy go w dole Jadzia. — No, mówcież, mówcie, coście widzieli?

— Nikogo, pustynia! — odezwał się wchodząc kilka stopni w górę, aby się zbliżyć do Jadzi. Wtem nadeszła miecznikowa od dziedzińca.

— Patrzcież — rzekła śmiejąc się i wskazując palcem na Korczaka — powrócił, ja czekam, czekam, a on poszedł pierwszy raport zdawać pannie Jadzi, o mnie zapomniawszy. Ale mówże, mości Korczaku, co tam?

— Objechaliśmy część znaczniejszą granic, ale oprócz nich nie widzieliśmy nic więcej.

— A więc i mybyśmy pojechać mogły.

— Ale tak! tak! — w ręce klaszcząc i wstając zawołała Jadzia, biegnąc ku matce — jedziemy.

— Więc jutro — odezwała się stanowczo miecznikowa. — Dorszak da wózek dla nas. On i Janasz będą nam towarzyszyli.

— Przepraszam panią miecznikową — wtrącił Janasz — nie mogę pozwolić na to. Najmniej dziesięciu ludzi dobrze uzbrojonych wezmę.

— Po co? na co? co waści w głowie? — roześmiała się jejmość. — Dałbyś pokój, abyśmy do śmiechu nie nastręczali powodu.

— Ja śmiech biorę na mój rachunek, jeśli potrzeba — odezwał się Janasz seryo — ale inaczej nie będzie.

Wyrazy te wymówił poważnie i tak śmiało, że pani Zboińska już się nie sprzeciwiała. Właśnie Dorszak, który może z za muru część rozmowy słyszał, wsunął się przez bramę.

— Zatem na jutro jaśnie pani dysponuje? — spytał. — Wózek, konie, ja i pan Korczak.

— I dziesięciu ludzi zbrojnych w konwoju — dodał Janasz.

Dorszak markotny ręką machnął i stał milczący. Jakoś mu to widocznie nie smakowało.

— Niech jaśnie pani każe. . — ozwał się pomilczawszy. — Cóż tu ten jegomość ma dysponować.

— Ten jegomość — żywo wtrąciła Jadzia, której twarz się zarumieniła — przez ojca został do tego przeznaczony, aby komenderował, to trudno.

Twarz Dorszaka przekrzywiła się, złośliwie na dziewczę spojrzał, lecz Jadzia oburzona odeszła.

Janasz już w dolnej izbie wydawał rozkazy ludziom i dobierał co najtęższych, rozporządzając, jaką broń wziąć ze sobą mieli na jutro. Ksiądz Żudra się wpraszał także. Dorszak, który parę razy usiłował się wtrącić, widząc, że ładunki robią, rusznice i pistolety nabijają i szable opatrują, musiał pójść z kwitkiem. Janasz udał, że go ani widzi ani słyszy.

Nazajutrz do dnia na zamku ruszać się wszystko poczęło. Wyprowadzano konie, ludzie się przybierali, Janasz jeszcze opatrywał każdego zosobna i wózek dla kobiet przeznaczony. Nim jeszcze wyruszyli Dorszak zapowiedział, iż dla ukazania piękniejszych miejsc, cokolwiek inną poprowadzi drogą. Nie uderzyło to nikogo.

Ze wschodem słońca w gotowości było wszystko. Miecznikowa, przeżegnawszy się, siadała na wózek z Jadzią, Dorszak na koniu się już zwijał, ludzie swoich dosiadali, Janasz rozstawiał i tak orszak, przebywszy most i miasteczko, z którego chat i domostw wybiegło ludzi mnóstwo, dla przypatrzenia się jadącym, ruszył przez dolinę w wąwozy. Jadzia więcej stała niż siedziała na wózku, unosząc się od pierwszych kroków w wąwozach, nad pięknością drzew i gór otaczających.

W szczególnym humorze był Dorszak. Jak gdyby zwykłe swe milczenie i kwasy chciał wynagrodzić, ożywiony, opowiadał różne podania o dawnych napadach, potyczkach, bitwach staczanych, porwanych jeńcach.

Im głębiej wjeżdżali w góry, tem ściany ich wyżej się podnosiły i las starszy był i poważniejszy. Miecznikowej wskazywał Dorszak zapadłe w ziemię krzyże graniczne i zaciosy graniczne na dębach.

Jechali tak spokojnie aż do południa prawie. Słońce, podniósłszy się, rzucało z góry promienie w te zakąty leśne, resztę dnia stojące w cieniach. Konie dobrze już były zmęczone, gdy wjechali w dolinę między górami, na której u skraju lasu widać było dwie mogiły. Jedna z nich odmienna od tych, które dotąd widywali, opasana była jakby pierścieniem zielonym dokoła, usypanym niegdyś wałem, wklęsłym teraz w ziemię.

— Możeby tu jaśnie pani kazała koniom wypocząć? — odezwał się Dorszak.

— A dobrze! dobrze! — przerwała Jadzia — u mogiły... ale jakże się ona zowie?

— Han-Kurhan — rzekł Dorszak.

Drzewa, które snać po usypaniu obu kurhanów porosły, do pół osłaniały je gałęźmi. Poza pniami ich był gąszcz krzewów, głogów, dereni, dzikich róż poplecionych z jeżynami dzikiemi.

Dokoła zieloną równinę, którą przerzynał strumień, otaczały piękne wzgórza. Nie widać stąd nawet było, aby do niej inna wiodła droga prócz tej, którą wjechali podróżni. Cisza panowała dokoła. Miecznikowa i Jadzia zsiadły z wózka, ksiądz z konia, ludzie zaczynali też z kulbak złazić. Janasz jeszcze siedział i rozglądał się, zapewne dla wyboru miejsca na spoczynek, gdy wśród milczenia głuchego ucho jego chwyciło w dali rżenie koni.

Gdyby był w tej chwili spojrzał na Dorszaka, dostrzegłby był, jak pobladł nagle.

Zaledwie się to oddalone rżenie koni słyszeć dało, gdy stojącemu przy sobie Nikicie Korczak rzucił w ucho:

— Wszyscy do koni i do broni! nie zsiadać! kołem stanąć!

Dorszak więcej się domyślił rozkazu, niż go posłyszał.

— Niech ludzie spoczną — odezwał się — niech broń złożą, bo się nadźwigali darmo przez drogę. Konie trzebaby napoić.

Janasz skinął na Nikitę.

— Ani mi się ważyć!

Miecznikowa i Jadzia z podziwieniem spoglądały na niego i nie umiały sobie wytłómaczyć tego niepokoju.

Chwilę jakąś trwało oczekiwanie, gdy ziemia tętnieć zdala zaczęła nagle, coraz gwałtowniej, coraz bliżej i z prawej strony ukazał się niedaleko jakby tabun koni, które prosto gnały na obóz!!

(Ciąg dalszy nastąpi).

GAWĘDY O RÓŻNYCH SPRAWACH.

Niezgody międzynarodowe.

Jak niema człowieka, któryby żył osamotniony, bo człowiek jest istotą towarzyską, tak niema państwa, któreby nie utrzymywało stosunków z innemi państwami ościennemi a często nawet i bardzo odległemi. Ile to bowiem węzłów gospodarczych, handlowych, przemysłowych i politycznych łączy wzajemnie kulturalne państwa. Świadczą o tem dziesiątki rozmaitych traktatów, jakie państwa ze sobą zawierają.

Wystarczy n. p. wspomnieć o licznych traktatach handlowych, o związkach pocztowych, kolejowych, dzięki którym list lub pakunek raz opłacony jedzie niejednokrotnie spokojnie przez szereg obcych państw, aż dostanie się na miejsce często o tysiące mil odległe. Są związki cłowe, związki dla zwalczania dżumy, cholery, dalej państwa zobowiązują się opiekować wzajemnie obcymi poddanymi, jeżeli ci znajdą się w obcym kraju itd. itd. Widzimy więc, że stosunki łączące państwa są najróżnorodniejsze a wszystkie one składają się na wzajemne pożycie państw cywilizowanych w przeciwstawieniu do krajów barbarzyńskich, które nie odczuwają potrzeby zawiązywania takich stosunków i ani do nich nie dorosły.

Cały ten świat państw cywilizowanych i ich wzajemne stosunki można porównać do zegarka. Każde kółko w zegarku obraca się naokoło swej osi, tak samo i każde oddzielne państwo żyje dla siebie, ale też każde kółko jest połączone z innemi kółkami zegarka i z całą jego konstrukcyą, tak jak państwa są połączone z sobą wzajemnie. Niech się coś w tym zegarku zepsuje, to wszystko zaczyna skrzypieć i ustaje. Tak zepsuły się kółka przed kilku miesiącami w organizmie państw europejskich, a dała do tego powód znana czytelnikom »Roli« sprawa marokańska. Zdawało się, że lada chwila może przyjść do wielkich zawikłań, bo Marokko jest pod względem ekonomicznym ważnym krajem i każde państwo: Francya, Anglia, Hiszpania itd. starały się mieć ten kraj pod swym wpływem, aby módz choćby tylko swe produkty przemysłowe w nim sprzedawać. Niepodobało się to Niemcom i musiały włożyć swoje niezgrabne palce: wysłały do Agadir okręty wojenne, nibyto grożąc wojną Francyi. Francya oburzyła się na to, uważając to za zuchwałą zaczepkę.

Więc w państwach europejskich zaczęło coś zgrzytać, lecz dzielni politycy, jak sztukmistrze, zaczęli przemyśliwać nad naprawieniem tego co się zepsuło i wreszcie doszło do tego, że powaśnione państwa się już prawie zupełnie pogodziły i zegarek państw europejskich już zapewne dobrze pójdzie, dopóki się znów jakie kółko w nim nie zepsuje.

Drugą sprawą, około której także politycy bardzo się pocili, to sprawa z Albańczykami Malisorami, którzy rozpoczęli zaciętą wojnę z Turcyą. Pod naciskiem państw Europy rząd turecki poczynił Malisorom, którzy są katolikami, znaczne ulgi, wobec czego zbuntowani Malisorowie złożyli broń i powrócili do domów. Ale muzułmańscy Albańczycy także chcą takich ulg, jakie przyznała Turcya katolickim Albańczykom czyli Malisorom. Turcya jednak tego uczynić nie chce, jest więc obawa, że wrzenie w Albanii będzie trwało dalej. Aby z tego wybuchła wojna trudno przecież przypuszczać. Choć bywa w polityce jak między ludźmi: o byle co się poczubią!

Posłowie włościańscy do Rady państwa.

(Ciąg dalszy).



Dr. Antoni Banaś
(ludowiec).



Jakób Madej
(ludowiec).



Antoni Bomba
(ludowiec).



Władysław Długosz
(ludowiec).



Wincenty Myjak.
(ludowiec).



Jerzy hr. Baworowski.
(konserwatysta).



Jan Bis
(ludowiec).



Ludwik Dobija.
(centrum).

Niedziela w Australii.

Wiadomo z jaką surowością przestrzegają Anglicy odpoczynku niedzielnego. Lecz niedziela angielska jest niczem w porównaniu z niedzielą i popołudniem środowem w Australii (oprócz bowiem świąt zwykłych, robotnik i urzędnik australski ma zapewniony w środę odpoczynek półdniowy). Skoro ktoś wejdzie do restauracyi australskiej we środę w chwili kiedy zegary miejskie wydzwaniają 12, ujrzy zdumiony, jak wszystkie kelnerki odwracają się od gości i zrzuciwszy fartuchy, spieszą ku wyjściu. Jeżeli zaś gość wszedł do restauracyi na kilka minut przed 12 i zdążył już zamówić jadło, to może mu się zdarzyć, że kelnerka niosąca talerz, usłyszawszy bicie zegara, postawi talerz na najbliższym stole, nie dbając czy gość zgłosi się po niego, a sama najspokojniej odejdzie.

Do jednego z teatrów, w którym odbywało się w środę przedstawienie popołudniowe, wszedł jakiś jegomość z brodą do połowy ogoloną, tłumacząc się tem, że fryzyer odmówił mu stanowczo ogolenia drugiej połowy, ponieważ wybiło południe.

Zdaje się to nieprawdopodobnem, a jednak jest prawdziwem, że w Sydney, mieście liczącem pół miliona mieszkańców, obcy przybysz nie dostanie w niedzielę nic do zjedzenia. Co prawda, niektóre restauracye wydają potajemnie potrawy; po pierwsze jednak trzeba wiedzieć, gdzie są takie restauracye, powtóre zaś można narazić się bardzo łatwo na aresztowanie za przekroczenie rozporządzenia o odpoczynku świątecznym.

Pewnego Włocha, znajdującego się w niedzielę w takiej restauracyi, restaurator wepchnął, na widok nadchodzącego policyanta, do lokalu bocznego, w którym znajdowała się właśnie jedna z kelnerek. Surowy stróż porządku publicznego i tam wkroczył, wobec czego biedny Włoch, aczkolwiek dawno żonaty, oświadczył, dla uniknięcia kozy, że dziewczyna jest jego narzeczoną, a kelnerka potwierdziła to zeznanie. Włoch, co prawda, uniknął tym sposobem aresztowania, naraził się jednak na nieprzyjemności daleko gorsze; po upływie bowiem pewnego czasu kelnerka zaskarżyła go do sądu o wynagrodzenie w sumie 500 funtów szterl. za niedotrzymanie obietnicy małżeństwa, żona zaś biedaka, dowiedziawszy się o tem, zażądała rozwodu, otrzymała go i wyszła wkrótce za mąż powtórnie.

Prawdziwy strach ogarnia Sydneyczyków, gdy zdarzają się dwa dni świąt z rzędu; w ciągu bowiem dni tych miasto staje się martwem i nawet zwłoki ludzi, zmarłych w przeddzień świąt, muszą leżeć niepochowane, choćby nawet zagrażały ludności zarazą, gdyż żaden z grobarzy nie zgodzi się na pogwałcenie wygodnego mu prawa.

Kółka rolnicze.

W dniach 22 i 23 sierpnia odbędzie się w Przemyślu doroczny walny Zjazd Kółek rolniczych. Od szeregu lat ta gospodarcza, rozgałęziona szeroko w kraju instytucya włościańska wykazuje stały rozwój, jednocząc w sobie coraz to liczniejsze szeregi rolników, którzy rozumieją jak wielkie korzyści zapewniły im i zapewniają ustawicznie Kółka rolnicze.

Oto pokrótce zestawiony w cyfrach stan Kółek rolniczych w r. 1910. Z końcem roku 1910 było czynnych Kółek rolniczych w całym kraju 1536; liczyły zaś one członków zwyczajnych 65.172. Suma dochodów Towarzystwa z opłat członków i rozmaitych przedsiębiorstw wynosiła w ubiegłym roku 85.694 K., subwencye z funduszu krajowego 90.500 K., ze skarbu państwa 79.300 Kor., z rozmaitych innych źródeł 11.189 K. Ogólna suma dochodów Towarzystwa wynosiła w ubiegłym roku 266.683 Kor.

Obrót kasowy zarządu głównego wynosił 2 miliony 445 tys. 635 Kor., a majątek Towarzystwa składały następujące pozycye: Fundusz żelazny Towarzystwa 36.417 Kor. Wartość własnych budynków Kółek rolniczych 1 milion, 5 tys. 25 Koron.

Działalność Towarzystwa, w zakresie podniesienia kultury rolnej gospodarstw włościańskich, zamyka się w następujących liczbach: Na rachunek członków sprowadziły Kółka rolnicze: nasion za kwotę 2.6.465 Kor., nawozów sztucznych za kwotę 552.384 K., maszych i narzędzi rolniczych za kwotę 18.593 Kor., drzew owocowych sztuk 22.484, pasz treściwych metr. cetnarów 122.213.

W inwentarzu Kółek figuruje 613 maszyn rolniczych, przeznaczonych do wspólnego użytku członków; rozmaite udoskonalenia w gospodarstwie wprowadza coraz większa liczba Kółek, a więc: nawożenie łąk wprowadziły 233 Kółek, robotę krowami 268 Kółek, uprawę nowych gatunków zbóż 524 Kółek, nowe rośliny pastewne 550 Kółek, zmiany w uprawie 830 Kółek. Towarzystwo przeprowadziło nadto drenowanie na 4.521 morgach gruntów włościańskich.

Straży pożarnych zorganizowano dotąd 306 z 340 sikawkami; sklepów włościańskich założono 888, z których 488 prowadzą Kółka we własnym zarządzie, a 401 wydzierżawiają za łączną kwotę 47.040 Kor. Biblioteki Kółek liczą 87.264 dzieł; czytelnie otrzymują 2.555 egzemplarzy czasopism; na cele dobra ogólnego wyznaczyło Towarzystwo w 1910 r. 19.699 Koron.

Rezultat więc działalności Kółek nader pomyślny. Życzyć należy, aby i w przyszłości Kółka się rozwijały i to w sposób jeszcze pomyślniejszy. Stać się to jednak może naówczas, gdy w zarządzie Kółek jedyną myślą i dążeniem będzie dobro i pomyślność Kółek, wydatność ich pracy i rozszerzanie się na miejscowości, gdzie ich brak dotychczas. Na zjeździe tegorocznym ma być dokonany wybór 24 członków Zarządu głównego na nowe trzechlecie. Wyrażamy gorące pragnienie, aby w wyborze tym przyświecała delegatom myśl przysporzenia Zarządowi ludzi rozumnych, którym dobro rolnictwa leży szczerze na sercu, ludzi, którzy prawym charakterem, i uczciwością dają gwarancyę, że Kółka prowadzić będą jak najpomyślniej. Pamiętać bowiem należy, że Kółka rolnicze, to instytucya gospodarcza, walki więc stronnicze i usiłowania, aby to czy owo stronnictwo uzyskało większość, nie byłyby tutaj zupełnie na miejscu. Spodziewamy się, że poczucie obywatelskie delegatów, rozumienie pracy gospodarczej Kółek na zjeździe w Przemyślu odniosą zwycięstwo ku pomyślności i dobru tej pożytecznej instytucyi rolniczej.

Przesądy i zwyczaje.

Jeden z niemieckich pisarzy zadał sobie trud zebrania z różnych książek, jakie to przesądy i zwyczaje połączone są u różnych ludów z takiemi objawami jak ziewanie i kichanie. Przypatrzmy się temu zabawnemu wyliczeniu.

Dziś jeszcze, gdy kto kichnie, życzy mu się zdrowia, a gdy ziewamy, zasłaniamy ręką usta. Otóż zwyczaje te przeszły do nas w złagodzonej formie od zabobonów, pielęgnowanych przez rasy niższe.

I tak Zulus (Afrykanin) murzyn dowodzi, że gdy kichnie, jest wtedy błogosławiony, gdyż duch przodka wstąpił weń, więc chwali wówczas przodków swych i prosi ich o błogosławieństwo. Kichanie oznacza tam, że chory wraca do zdrowia, więc odwiedzający chorego pytaja, czy on kicha.

W Gwinei, wyspie australskiej, jeszcze w XVIII wieku, gdy jaka znakomita osobistość kichnęła, obecni życzyli jej wszelkiej pomyślności, padali na kolana i całowali ziemię.

Gdy uczony Fernando de Soto przedsięwziął wyprawę do Florydy, odwiedził go wódz krajowców, który kichnął głośno. Wówczas dostojnicy, którzy mu towarzyszyli, poczęli życzyć pomyślności. Hiszpanie byli zdumieni, że u barbarzyńców amerykańskich spotkali zwyczaj taki jak u siebie.

Formułka żydowska przy kichaniu brzmi: »dobrego życia«. — Muzułmanie powiadają: »chwała Ałłahowi« (Bogu). — Kafrowie wierzą, że obecność duchów wywołuje kichnięcie.

Zresztą i dzisiejsze cywilizowane narody europejskie mają różne wierzenia, odnoszące się do kichania. U nas przy kichnięciu również składają życzenia: na zdrowie, pomyślności, kopę lat. Gdzieniegdzie jest na tym punkcie moc przesądów: inne ma znaczenie gdy się kichnie naczczo, inne gdy po jedzeniu.

W okolicy Przemyśla lud wierzy, że jeśli się kichnie przed drogą, to droga będzie pomyślna. — W innem znów miejscu utrzymują, że jeśli w wigilię Bożego Narodzenia kichnie mężczyzna, to krowa mieć będzie byczka, jeśli kobieta — jałówkę.

W Chełmskiem, jeśli kichnie małe dziecko, żegnają go krzyżem świętym, aby mu w usta dyabeł nie wleciał. W okolicy Andrychowa mówią: jeśli się kichnie w poniedziałek, to na nowinę, we wtorek na trunek, we środę na gościa, we czwartek na zmarłego, w piątek na smutek.

Górale utrzymują, że kichającemu dziecku dyabeł włazi w nosek. Opowiadają też taką bajeczkę: Pewnego razu pokumał się dyabeł z chłopem i postanowili sobie wzajemnie pomagać. Dyabeł zastrzegł, że dziecko, które miało się urodzić, sobie zabierze i prosił chłopa, by nie wypowiedział żadnego życzenia, gdy dziecko kichnie. Dziecko wkrótce po przyjściu na świat kichnęło. Chłop nie wypowiedział życzenia, ale pomyślał: »Niech ci Bóg da zdrowie« i to uratowało dziecinę.

Tak więc nasze życzenia zdrowia przy kichaniu są dalszym ciągiem zabobonów.

Co do ziewania, to Zulusi sądzą, że przepowiada ono zbliżanie się ducha.

Muzułmanin, gdy ziewa zasłania sobie usta lewą ręką i prosi Boga, aby go uchronił przed dyabłem.

Żydzi mają przysłowie: »Nie otwieraj ust dla szatana«, należy bowiem unikać ziewania, aby przez otwarte usta nie dostał się dyabeł.

W Tyrolu dotąd jeszcze istnieje zwyczaj żegnania się przy ziewaniu, aby nic złego nie weszło do ust. Żegnanie ust podczas ziewania praktykuje się także we Włoszech i Rosyi.

Historya, jakich wiele.

Jechał Marek z jarmarku,
Z nim na wozie oś nowa,
Coś się chwiało na karku,
Ni to arbuz, ni głowa.

Sprzedał konie srokate,
Kupił sobie oś nową,
Dwie motyki, łopatę,
Kupił nową klacz, zdrową.

Wóz ciągnęła klacz nowa,
On popędzał ją biczem...
Na pierś spadła mu głowa,
Nie pamiętał o niczem...

Batog wypadł mu z dłoni...
Klacz powolnym szła krokiem...
Z drzemki zbudzon, podgoni,
Sennem patrząc nań okiem.

Klacz stanęła wśrod drogi,
Marek z trudem wzniósł głowę:
„Wio!“ — Powrócił sen błogi
I marzenia są nowe.

Jechał dalej... Wtem mrowie
Przeszło po nim, deszcz z mrozem,
Bo obudził się w rowie,
Leżąc w błocie pod wozem.

Na dobitek zobaczy,
Że złą jedzie ulicą.
Zemścił się więc na klaczy,
Zbił biedaczkę palicą.

Już kres drogi, już chata,
Lecz zawarte są wrota.
„Hej, jest kto tam?!“ Kudłata
Suka skoczy z za płota.

I poczęła ujadać...
Marek spuścił już nogę,
Chcąc zapewne zesiadać,
Gdy spadł z wozu na drogę.

Klacz łeb w górę zadarła,
Skoro Łyskę spostrzegła,
Sama wrota rozwarła
I w podwórze pobiegła.

Maciek powstał i w gniewie
Tylko silnie zwarł pięści.
Klacz stanęła przy drzewie,
Wóz rozleciał się w części.

Marek ich już nie zbierał,
Tylko Łyski kudłatej
Szukał, wszędzie zazierał,
By nie uszła zapłaty.

Magda woła go z proga:
„Na wieczerzę pójdź, Marku!
Co się stało, dla Boga?!...
Głowy nie masz na karku?!

On nie słuchał. Wnet sukę
Znalazł poza piwnicą.
Dał jej dobrą naukę:
Zbił biedaczkę palicą.

Dzieci w kątach gdzieś siedzą.
Przyjechali już tatuś...
Źle być może, to wiedzą,
Bo mówili im matuś,



Marek siedzi przy stole
I wieczerzę zajada,
Jak wilk, głodny... Na czole
Pot kroplami osiada.

Barszcz po brodzie mu ciecze...
Magda myje i sprząta,
Ani słówka nie rzecze,
Po świetlicy się krząta.

Już jeść Marek nie może...
Tupnął nogą o ziemię:
„Prędko, Magdo, ściel łoże!“
I na ławie już drzemie.

Szczypnął Janek Marysię,
Bo mu w głowie wciąż heca.
„Daj mi spokój, urwisie!“
I wylazła z za pieca.

Sen tatusia porzucił,
Co na oczach mu gościł...
Gdy się Marek ocucił,
To się strasznie rozzłościł.

Złapał dziewczę za ramię...
„Cichaj, stary pijanico!“
„Ja jej kości połamię!“
Zbił biedaczkę palicą.

Teraz Magda dopiero
Wzięła stronę swej córy
I ze złością, ze szczerą,
Brać poczęła go z góry.

„A ty stary pijanico
Cóżeś przywiózł z jarmarku?!..,
Dzwonił w szynku szklanicą!...
Głowy niema na karku!...

Sprzedał konie srokate
I zapewne już przepił
Całą wziętą zapłatę!...
Jak się błotem oblepił?!,..

Pewnoś leżał gdziej w rowie?!...
Spoczywałeś po drodze?!...“
I tak słowo po słowie,
Rozzłościła się srodze.

„Gdzie motyki, rzeszoto.
Gdzie łopata jest nowa?!
Nie postarał się o to,
Kapuściana to głowa!

Pozostały gdzieś w rowie...
Wszystko pewno pogubił...
Jakie guzy na głowie...
Pewno z kimś się poczubił.

By przynajmniej, niezdara,
Cicho siedział choć w domu...
I tu jeszcze, psiawiara,
Nie da wyżyć nikomu“.

Aż pąsowa już cała...
A on nie rzekł ni słowa...
Garnek z ławy porwała,
Cisła w męża Markowa.

On się schylił... Jakgdyby
Ktoś umyślnie wymierzył,
Garnek cztery zbił szyby,
Skoro w okno uderzył.

Marek wciąż się obracał
I udawał, że drzemie...
Wreszcie laskę namacał,
Która spadła na ziemię.

Ścisnął w garści, w garść splunął,
Grubym końcem obrócił,
Ławę na bok odsunął,
Bez przeszkody by młócił.

Dostał Magdę do ręki,
Gdy przejść chciała świetlicę,
I po chwilce maleńkiej
Złamał na niej palicę.

Arkadyusz Szarek.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

VII. Dziwna mogiła.

Nazajutrz przed piątą godziną rano byłem na nogach. Antek osiodłał mi konia i kiedy wyszedłem na dziedziniec, wszyscy we dworze jeszcze spali, oprócz starego Łukawskiego, który siedział na ganku i patrząc się na różowy wschód, odmawiał koronkę.

— A gdzie to pan porucznik tak rano, jeśli wolno jegomościunia się spytać? — rzekł, wstając z ławki, kiedym koło niego przechodził.

— Na musztrę.

— A, kochany panie, pozwól, dam znać o tem panu regimentarzowi, on okrutnie lubi musztrę.

— Owszem, owszem! poczekam na pana regimentarza.

Stary pobiegł i niedługo regimetarz był przy mnie i wołał:

— Łukawski, dawaj siwka! a to mi mociumdobrodzieju prawdziwy bal sprawisz, ej! ej! przypomnę sobie teraz dawne czasy.

Łukawski przyprowadził siwka, ślicznego konia, arabczyka czystej krwi, aż mi ślinka szła do ust, patrząc na takie piękne zwierzę. Pojechaliśmy.

— A gdzież się będziecie musztrować, mój mości dobrodzieju? — spytał regimentarz.

— Nie wiem i bardzo jestem kontent, że pana regimentarza spotkałem, może tu jest jakie odpowiednie miejsce?

— A jest, jest, mam połoninę w lesie, niedaleko, pojedziemy tam, mociumdzieju.



...rzekłem do regimentarza, który jechał obok...

Ranek był prześliczny, cichy, chłodny. Słońce wschodzące oblewało wszystkie przedmioty purpurą i mgły białe unosiły się zdala. Wśród ciszy, jaka panowała w budzącej się ze snu nocnego przyrodzie, rozlegał się tylko świegot ptactwa po zaroślach, śpiew skowronka i turkot młyna, co gdzieś klekotał na strumyku. Cała dolina rozścielająca się u stóp wzgórza, na którem wznosił się regimentarzowy pałac, dolina długa, szeroka, tonąca jeszcze w głębiach w szarym półcieniu mgły, stroiła się powoli w purpurę wschodzącego słońca. Widok to był tak piękny, że nie zapomnę go nigdy, stoi on mi w pamięci żywo, w całej pełni, jak wszystko wreszcie, com widział i przeżył w tym cichym starym dworze wiejskim.

Wyjechaliśmy na drogę, a stąd pałac z pośrodka masy drzew, otaczających go dokoła, ze swym śpiczastym, olbrzymim dachem, krytym czerwoną dachówką, ze swemi kominami, co jak wieże sterczały, ze swemi nieregularnemi wreszcie załomami, oblany krwią i złotem krwawo wschodzącego słońca, na czystym błękicie niebios rysował się wspaniale, jak jakaś rycerska, średniowieczna siedziba.

Spojrzałem na niego i rzekłem do regimentarza, który jechał tuż koło mnie i poglądał na kłoszące się już zboże koło drogi.

— Już to przyznać trzeba, Grzymała leży w okolicy prześlicznej, osobliwie sam dwór nosi na sobie charakter bardzo poważnej i miłej starości.

— Hm! — mruknął regimentarz — tak to jest, tak, ano stary też to dom, stary, mociumdobrodzieju, ze dwieście lat dźwiga na sobie. Kawał czasu! mój pradziad, dziad i ojciec tu się rodzili, żyli i umierali. A i ja też, da Bóg, nie gdzieindziej umrę... Ale nie taki on jest i jak go mój pradziad zbudował, reperowaliśmy go nieraz, dodawało się to i owo, przemieniało, jako kto chciał, i mało tu się ostało w pierwotnym swym stanie, okrom kilku komnat na pierwszem piętrze. A! otóż i twoi ułani! śliczne wojsko! mój mociumdobrodzieju...

Niezbyt zadowolony byłem z tej przerwy, właśnie w najciekawszem miejscu gawędy regimentarza o pokojach na pierwszem piętrze, ale cóż było robić? Obiecałem to sobie wynagrodzić innym razem. Pewny tylko byłem, że stary konfederat nie gniewa się na mnie, a może zapomniał o wczorajszej scenie przy butelce miodu. To mnie trochę pocieszyło.

Pluton mój stał rozwiniętym frontem na drodze, tuż przy tem miejscu, gdzie ona spuszczała się w wielki wąwóz, obrosły z obu stron gęsto krzewami jałowcu, głogu i berberysu. Przejechaliśmy z regimentarzem przed frontem, poczem ja, chcąc zakomenderować do marszu, odsunąłem się nieco i skierowałem konia ku dwom maleńkim podłużnym wzgórzom, leżącym zaraz obok drogi i nie obsianym zbożem. Ale koń w żaden sposób nie chciał wjechać na te wzgórza. Spiąłem go ostrogami, a zwierzę skądinąd łagodne i dające się powodować łatwo, poczęło parskać i drżeć na całem ciele, z czego poznałem, że się boi. Pogłaskałem go po karku oblanym potem, nic to nie pomogło. Wraz z koniem i mnie ogarnęła jakaś zabobonna trwoga, spojrzałem na owe wzgórza i zaraz mię uderzył ten szczegół, że gdy gdzieindziej zboże poczynało się zaraz przy drodze, tu leżał kawał ziemi odłogiem, okryty tylko szmaragdową bujną zielenią, wielkiemi liśćmi łopuchy, bylicy, macierzanką i kilku smętnemi kwiatami szaleju. Wszystko to rosło bujnie, jakby na uprawnej ziemi. Na wzgórza same ciśniętych było nieco suchych gałęzi, jakby na mogiły samobójców.

Spojrzałem na mój pluton, który w niemem milczeniu przypatrywał się mej walce z koniem — na wachmistrza, który ukradkiem robił na piersiach znak krzyża świętego — wreszcie na regimentarza, stojącego o parę kroków odemnie nieruchomo, z wzrokiem wlepionym w owe wzgórza, niby posąg skamieniały. Oczy miał rozwarte szeroko, cały był trupio blady, a wargi mu drżały jak w febrze. Straszliwy wyraz nieziemskiej jakiejś trwogi, grozy czy przerażenia malował się na tej poważnej wiekiem twarzy starca. Nakoniec podniósł rękę i nie odwracając oczu od wzgórzy, rzekł głosem drżącym, chrapliwym, przytłumionym, jak gdyby mu szedł z głębi piersi, zatrzymując się na każdym wyrazie.

— Poruczniku... nie jedź... tam... to... uro... uroczysko!...

Wyrzekłszy to, westchnął z głębi piersi, jakby mu ciężar spadł z serca i spojrzał na zdumiony i milczący jak posągi pluton. Oprzytomniałem natychmiast i zrozumiałem, że trzeba bądź co bądź dziwną tę scenę jak najprędzej skończyć. Zaśmiałem się więc głośno i huknąłem.

— Pluton, baczność! dwójkami od lewego, prawe ramiona naprzód, marsz!

Ruszyliśmy naprzód ku owemu lasowi, gdzie miała być polanka odpowiednia do ewolucyj wojskowych, prowadzeni przez regimentarza. Zauważyłem, że ten ostatni, jak przedtem był wesół i rozmowny, tak teraz milczał, smutny był jakiś, nieswój, zamyślony. A ja? Ja coraz bardziej dawałem się ogarniać dziwnym przypuszczeniom i czułem, że toczę się ku jakiejś strasznej katastrofie niepowstrzymanym pędem.

Do lasu było z pół ćwierci mili. Polana zaś była duża i w sam raz odpowiednia dla musztry. Otaczały ją odwieczne drzewa, dając dużo cienia, przez co ani ludzie, ani konie zbytecznie się nie męczyli. Musztra trwała trzy godziny, w czasie której i regimentarz i ja nieco rozruszaliśmy się, pędziliśmy smutek wynikły z dziwnego zdarzenia na owem... uroczysku przy drodze. Po mustrze regimentarz pożegnał mię do obiadu, mówiąc, że musi objechać pola i folwarki, a ja samowtór z Antkiem rusyłem do dworu, pluton bowiem krótszą drogą udał się na wieś do kwater, ze śpiewami, które po rannej rosie daleko się rozchodziły.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wieśniacze życie.

Ach! jakież to miłe życie wieśniacze,
Do niego me serce rwie się i skacze...
Jakież to piękne wieśniaka zwyczaje,
Jego prostota, jego obyczaje...

Jak miło, choć ciężko ziemię uprawiać
Przy śpiewie skowronka, miłej ptaszyny,
Na chleb powszedni uczciwie zarabiać
Od świtu zorzy do późnej godziny...

Jak miło w niedzielę chodzić po polu
Wśród pięknych kolorów maku, kąkolu...
Jak się też serce wieśniaka raduje,
Gdy łany zboża okiem obejmuje...

A jakież wesołe wieśniaka oko,
Kiedy na polu brzęczą sierpy, kosy...
Gdy śpiewy żeńców lecą wysoko...
Hen za obłoki, pod same niebiosy...

Jak się też serce wieśniaka raduje,
I jak gorąco on Panu dziękuje,
Że mu dopomógł zebrać plony z pola,
Które wydała żywicielka-rola.

Jak miło patrzeć kiedy wieśniacy
W jesieni lub w zimie wolni od pracy,
Siędą przy piecu z swoimi synami...
I zachwycają Polski dziejami.

Wieśniaku, co pracujesz w pocie czoła!
Słysz! sumienie Polaka do cię woła:
„Byś co dnia Bogu pewien czas poświęcił
I w sercach dzieci miłość Polski wzniecił".

J. Kobylański.



MACIEK BZDURA GADA:

W tamtę niedzielę gospodyni okropnie wściekli się na gospodarza. Choć jem ta gębowanie nie nowina, ale jesce nigdy tak swojej jadacki nie rozdziawiali jak wtencas.

A beło to tak:

Przyśli gospodarz z kościoła po sumie, pojedli z godzinkę, co Pan Jezus dał i ta kpadają do gosposi:

— Słuchaj, Jaguś! po połedniu musis sama dopilnować ogonów, bom dzieckom i pastuchowi pozwolił pójść na niespór, a ja pójdę na zgromadzenie Kółka rolnicego, które będzie w skole.

Jacy ci gospodarz poćciwi! Oni taki wiedźmie, jak moja gospodyni, Jaguś gadają. Pedzioł jabym ji, pedzioł, jakby ona tak pod mój rozkazunek przysła!

Ale nie o to idzie. Ino to gospodarz pedzieli, jak wam »kochana« Jagusia, to jest niby baba mojego gospodarza, na nich z gębą, tom myślał, ze wszyćka zwierzyna na całym świecie pogłuchnie.

— Ja ci dam Kółka — padają — co ci po kółkach, aby ino cas po próznicy tracić a bidną niewiastę w tęśnicy i samotności zostawiać.

Ze to mój gospodarz cłek powolny i statecny, więc pocęli gospodyni tłómacyć, na co są Kółka, a kiedy są, to trza na ich posiedzenia chodzić i radzić o ich dobroci, aby były coraz lepse.

— Wis, Jaguś — padają — jak cłek jakikolwiek, wsiowy, cy miastowy, chodzi luzem, to on jest słaby i ni ma nikaj wziętości, ale jak się złący kupa ludzi i razem idą, to się robi taka siła, jak zelazo. W Kółkach chłopy się łącą, radzą nad dobremi sprawami, sprowadzają razem towary, a mając swój sklep, sami u siebie kupują.

— Cie go! — padają gospodyni — sami u siebie! A ja to wolę kupić u Mośka, bo u niego grajcar i dwa wytarguję, a on casem i herbatką potraktuje.

— No tak! — gospodarz na to — utargujes, ale choćby ci i szóstkę na ryńskiem opuścił, to i tak drozej zapłacis, jak w Kółku, a jezeli nie drozej, to ci da towar gorsiejsy. A za zydowską herbatkę, to na cem insem dobrze ją zapłacis. A zreśtą za zydowską herbatkę, to ci Bóg zapłać. Zyd w wodzie garcek omyje, dziecko okąpie, a potem z tego zrobi la chrześcijanina herbatkę. Juzbym ta ja zydowskiej herbaty za nic w świecie nie pił. W Kółku ani targowania się nima, ani herbatki nima, ale zato towar lepsiejsy, a zysk, jaki jest z towaru, to idzie la całej wsi.

Mądrze gadali gospodarz i insa baba toby połozyła usy po cholewach i dała kłopotom spokój, ale u mojej gospodyni się to nie trafia! Im kto do nich mądrzy gada, to oni w swojem jesce bardzi się upirają. Ale mój gospodarz mają ten święty zwycaj, ze jak gospodyni najbardziej na nich »huzia!« to oni ani mru... mru... Tak i teraz zrobili, na posiedzenie pośli, a Jagusia przed liganiem sami się przeprosili.

Z TYGODNIA.

Zdrowie Ojca św. W ubiegłych dniach znowu gazety przyniosły sprzeczne wiadomości o zdrowiu Ojca św. Donoszono o znacznym upadku sił, o atakach podagry, o osłabieniu serca. W istocie niema podstawy do obaw, Ojciec św. bowiem ma się lepiej i jak lekarze twierdzą, za tydzień będzie zupełnie zdrowy. Oprócz lekarzy i niektórych dostojników kościelnych odwiedzają Ojca św. siostra i siostrzenica, które dłuższy czas bawią przy nim. Jak poprzednio pisaliśmy wiek podeszły i wielkie upały przyczyniły się w znacznej mierze do zasłabnięcia papieża.

† **Ks. Bronisław Niklewicz**. W środę dnia 9 b. m. złożono w Zawoi do grobu zwłoki miejscowego proboszcza i dziekana makowskiego ks. Bronisława Niklewicza. Szacunek i miłość, jakiemi otaczano zmarłego za życia, znalazły wyraz w wielkim udziale w pogrzebie ludu, duchowieństwa, krewnych, znajomych i przyjaciół. Z ks. Niklewiczem zeszedł do grobu oddany służbie Bożej kapłan, opiekun i przyjaciel ludu i zacny obywatel.

Pryszczyca. W zeszłym tygodniu ogłosiło na miestnictwo w dziennikach i podało do wiadomości starostw wykaz wszystkich gmin w kraju, w których panuje ta zaraza bydlęca. Że stanowi ona klęskę dla rolników, a przepisy obowiązujące handel bydłem są uciążliwe — to nie ulega wątpliwości. Aby jednakże jak najrychlej zaraza wygasła, trzeba ściśle stosować się do owych przepisów, przekroczenie zaś ich sprowadziłoby na gospodarzy, dopuszczających się tego przykre kary. We wszystkich krajach cywilizowanych w takich wypadkach władze postępują surowo i stanowczo a tym sposobem tępią rozmaite zarazy bydlęce.

Olbrzymi pożar lasów w Tyrolu. Z małego pożaru, który nawiedził miejscowość Franzensfeste w Tyrolu, wskutek silnego wiatru wywiązał się groźny pożar lasów w godzinach popołudniowych w sobotę 5 sierpnia i trwał bez przerwy 90 godzin, zanim straży i wojsku udało się go przynajmniej częściowo umiejscowić. Zniszczone pożarem przestrzenie lasów wynoszą około 400 hektarów. Do poniedziałku 7 b. m. nie zdołano, mimo ogromnych wysiłków, zupełnie ugasić ognia, tworzyły się bowiem ustawicznie nowe ogniska pożaru. W miejscowościach objętych pożarem na stokach gór wielkie niebezpieczeństwo dla ratujących stanowiły spadające z gór rozpalone olbrzymie kamienie.

Olbrzymia zmowa robotników w Londynie. Przez dwa tygodnie zgórą trwał w Londynie strajk czyli zmowa robotników, zajętych w morskiej przystani przy budowie okrętów oraz przy wyładowywaniu towarów z przyjeżdżających do stolicy Anglii parowców. Strajkowało kilkadziesiąt tysięcy ludzi, skutkiem czego ucierpiał wielce ruch przemysłowy i handlowy angielski, robotnicy zaś sami stracili również wiele pieniędzy, które przypadłyby im jako zarobek. W zeszłym tygodniu jednakże zmowa się skończyła; robotnicy zyskali większą płacę, oraz zmniejszenie godzin pracy i ruch zwyczajny w porcie londyńskim będzie znów przywrócony.

Powodzie w Mandżuryi. W tym rozległym kraju azyatyckim klęska powodzi w ciągu obecnego lata olbrzymie przybrała rozmiary. Całe wsie stoją pod wodą. Powódź pochłonęła bardzo wiele ofiar w ludziach. W miejscowości Hulanczen 700 Chińczyków, na stacyi kolejowej Dujczinczan 400. Ogólna liczba ofiar, której na razie nie można stwierdzić, jest ogromna.

KRONIKA.

Jak się ratować w razie tonięcia. Gdy ktoś, nie umiejący pływać, wpadnie do wody, powinien pamiętać o tem, aby trzymać zamknięte usta przynajmniej przez jakąś chwilę i poruszać rękami tak, jakby podgarniał wodę od głowy pod brzuch. Kto tej wskazówki będzie się trzymać, napewno utrzyma się na wodzie, chociażby wcale pływać nie umiał. Przedewszystkiem zaś starać się trzeba o zachowanie zimnej krwi, bo przejmowanie się przypadkiem tylko przyspieszy upadek sił i katastrofę. Większość osób tonących zamiast myśleć o własnym ratunku, krzyczy wniebogłosy i macha bez ładu rękami i nogami. Takie zachowanie się w wodzie nieumiejącego pływać, bezwarunkowo musi spowodować utonięcie. Jeśli woda raz dostanie się do gardła, oddychanie staje się coraz trudniejszem i, rzecz naturalna, sposobność do wyratowania o wiele się zmniejsza.

Trojaczki. W Rybnej, pod Alwernią, włościanka, Magdalena Zawłodzka, powiła trojaczki: dwóch synków i córeczkę. Matka i dzieci są zdrowe.

Kradzież w biały dzień. Dnia 31 lipca b. r. do mieszkania włościanina Kucharczyka w Mogile koło Krakowa, dostali się przez okno w samo południe nieznani sprawcy i skradli kilka jedwabnych chustek oraz sznur korali, łącznej wartości 400 kor.

(S. P.) **Dobre wychowanie.** W Kolanowie koło Bochni, w nocy z niedzieli na poniedziałek, trzej parobcy podpici idąc z Chodenic, Jan J., Stanisław T. i Henryk J. bili kołami około domów po balaskach, budząc ludzi i napadli na jednego gospodarza tamtejszej wsi i pobili go bardzo. Może się znajdzie jaki sposób, ażeby poskromić takich awanturników.

Zabłąkana kula. W Gródku Jagiellońskim w Galicyi, Wawrzyniec Gałuszka, 21-letni parobek, wyszedł na żniwa w pole, położone blisko strzelnicy wojskowej. Właśnie w tym dniu huzarzy ćwiczyli się w strzelaniu. Nieszczęście zrządziło, że jedna kula zboczyła i ugodziła pracującego w polu młodziana w piersi. — Konającego Gałuszkę przewieziono do szpitala.

Dzielny ratunek. Wiadomo, że tonący zazwyczaj utrudniają własny ratunek przez to, iż tych, którzy ich ratują, czepiają się z całej siły, ciągnąc wybawicieli na dno. Tak się też stało niedawno na rzece Zbruczu pod Husiatynem. Kąpiący się 13-letni student zaczął tonąć, a gdy rzucił mu się na pomoc 17 lat liczący uczeń z VI klasy gimnazyalnej, Kozłowski, tonący pochwycił go za rękę, skutkiem czego byliby z pewnością obaj poszli na dno, Kozłowski jednak, z prawdziwie zadziwiającą przytomnością umysłu i zręcznością, nagle zanurzył się, czem uwolnił się z rąk tonącego, a następnie podpłynął pod niego i z wielkim mozołem zdołał dopłynąć do brzegu, dźwigając na plecach prawie nieprzytomnego studencika. Wypadek ten obudził w całej okolicy podziw i zasłużone uznanie dla tak dzielnego młodzieńca.

Zuchwałość wilków w lecie. W zimie, gdy głód wilkom dokuczy bardzo, często się zdarza, że podkradają się do wsi, do kurników i chlewów, napadają nawet na ludzi. Nie trafia się to natomiast nigdy w lecie. O niezwykłym jednak wypadku zuchwałości wilków w obecnej porze donoszą gazety litewskie. Oto w pobliżu pewnej wsi w guberni mińskiej, gdy kilku włościan pracowało w lesie, wyszła z gęstych krzaków wilczyca z czterema wilczętami i chciała rzucić się na nich. Tylko dzięki natychmiastowej ucieczce uchronili się przed śmiercią.

Huśtanie się z bagnetem. Podczas huśtania się we Lwowie na »amerykańskiej« huśtawce pewnemu żołnierzowi wyskoczył z pochwy bagnet i, uleciawszy jakich 15 metr. w górę, spadł następnie ostrzem na jego głowę, zadając mu straszną, 15 cm. głęboką ranę. Śmiertelnie rannego żołnierza odwieziono do szpitala wojskowego.

Ruski „ślub cywilny“. Do czego prowadzi przewracanie w głowach chłopom ruskim przez agitatorów, budzących w nich obok nienawiści do Polaków, także nienawiść i lekceważenie wiary, przykładem następujący wypadek: Do proboszcza ruskiego w Hnilicach, we wschodniej Galicyi, przyszedł chłop Wawryczuk wraz z dziewczyną Anną Leszczukówną i zażądali, aby ksiądz dał im ślub cywilny. Gdy proboszcz oświadczył, że może im dać tylko zwykły ślub kościelny w cerkwi, Wawryczuk oświadczył zuchwale, że on takiego ślubu nie potrzebuje i wraz z narzeczoną opuścił plebanię, poczem oboje młodzi udali się do chaty Wawryczuka. Tam sproszono gości, potem postawiono na stole zapalone świece i krzyż, oraz bochenek chleba, a następnie Wawryczuk i Leszczukówna uklękli, położyli ręce na bochenku chleba i poczęli sobie wzajemnie ślubować: »Ja beru sobi tebe...« itd. Po tym ślubie nastąpiła uczta weselna i zabawa, a teraz Wawryczuk i Leszczukówna żyją razem ze sobą święcie przekonani, że ich ślub jest ważny.

Sprytna oszustka. Zamieszkała w Częstochowie, nie młoda już, bo 46-letnia, Ewa Szklanicka, ogłosiła w pismach niemieckich, że posiadając 18.000 marek, pragnie wyjść za mąż. Konkurentów do posażnej panny znalazło się wielu. Szklanicka naznaczyła im zjazd, w celu bliższego poznania się, w Kaliszu, w rozmaitych terminach, żądając jednak, żeby jej na koszty podróży przysłano 50 marek. I sypały się pieniądze od łatwowiernych a żądnych posagu konkurentów. Szklanicka pieniądze brała i w dalszym ciągu drukowała ogłoszenia, wspólnik zaś jej, niejaki Polikarp Kowalski, załatwiał z konkurentami korespondencyę. Wyborny ten interes urwał się jednak w tych dniach, konkurenci bowiem niespodziewanie się zjechali i dowiedzieli się, że każdy z nich był frycem, który się dał naciągnąć przez przebiegłą niewiastę. Na żądanie poszkodowanych aresztowano Szklanicką i jej przyjaciela. Tłumaczy się ona, że będąc zupełnie biedną, tą drogą chciała sobie zebrać fundusz i dopiero wyjść za mąż według głosu serca. Tymczasem jednak posiedzi w kryminale za niegodziwe oszustwo, nie złapawszy męża.

Figiel w tramwaju. W Łodzi przed paru dniami jakiś jegomość wsiadł do tramwaju, a spostrzegłszy, że niema w wagonie konduktora, dał znak na odjazd. Wagon ruszył, a ów wesoły pan na platformie zapraszał na przystankach do wsiadania. Konduktor, który tylko na chwilę się oddalił, nie mogąc sobie wytłómaczyć, co się z jego wagonem stało, wsiadł do następnego i dopędził go. — Wówczas, ku swojemu zdziwieniu, zastał wszystkie miejsca zajęte przez osoby bez biletów, przyczem żartobliwy pan tak zabawiał jadących, że głośny śmiech rozbrzmiewał w wozie tramwajowym. Skończyło się jednak mniej wesoło, bo niepowołany zastępca konduktora musiał powędrować do cyrkułu i za swój żart zapłacił karę pieniężną.

Urwanie „cycełe“ obrazą religii. W Pułtusku, w guberni łomżyńskiej, pewien chłopak z żartów urwał małemu żydkowi »cycełe«. Żydzi ujęli się za współwyznawcą i dogoniwszy chłopca, zaciągnęli go do policyi, gdzie spisano protokół. Sędzia skazał oskarżonego na 10 dni aresztu »za obrazę religii«.

O nieurodzaju ziemniaków donoszą gazety poznańskie i z Królestwa. Nieurodzaj spowodowała tegoroczna posucha. Kupcy tamtejsi już dziś rozglądają się za ziemniakami i kontraktują. Rolnik który ma ziemniaki na lepszych gruntach, a więc rokujące pewniejszy plon, cieszy się z tego. Zachodzi jednak obawa, żeby hodowla bydła i świń nie ucierpiała z powodu braku tej karmy w zimie i na przednówku przyszłego roku.

Śmierć z powodu cygara. W Budzyniu, w Poznańskiem, ośmioletnia córeczka pewnego muzykanta spaliła się niemal żywcem. Ojciec, wracając z nią z miasta, dał jej w drodze palące się cygaro do trzymania, odchodząc na chwilę. Dziewczynka, nie zważając na cygaro, trzymała je tak, iż sukienka jej się zajęła. Dziewczę w mgnieniu oka stanęło w płomieniach i odniosło tak ciężkie poparzenia, iż w okropnych boleściach skonało.

Mały zbrodniarz. We wsi Chobaninie, w Królestwie Polskiem, 9-letni chłopiec napadł przed wieczorem na drodze koło stawu na 5-letnią dziewczynkę, idąca z półtorarocznym braciszkiem, grożąc im utopieniem. Gdy dziewczynka w strachu uciekła, zepsuty chłopak tak długo bił batem pozostałe półtoraroczne dziecko, aż biedne chłopię straciło przytomność i upadło na ziemię. Wtedy mały zbrodniarz wrzucił nieszczęśliwe dziecko do wody, tak iż tylko nogi pozostały nad powierzchnią.

Piorunochrony po wsiach. Wobec częstych pożarów z powodu uderzenia piorunu, pewien poważny obywatel ziemski w Królestwie wystosował odezwę do kilku towarzystw ubezpieczeniowych od pożarów, aby te zajęły się zaprowadzeniem po wsiach piorunochronów, które mogłyby być umieszczone na wieżach kościelnych wysokich słupach itp. miejscach, które znawcy uznają za najodpowiedniejsze do zamierzonego celu.

Suka mamką prosiąt. Na pewnym folwarku w Austryi Dolnej zdarzyło się, iż maciora osierociła świeżo wylęgłe prosięta. Ponieważ żywienie małych prosiątek »z flaszki« wymagałoby zbyt wielkich zachodów i kosztów, właściciel folwarku wpadł na doskonałą myśl, aby bezrogim sierotkom dać za mamkę poczciwą sukę podwórzową, będącą właśnie w okresie karmienia swoich własnych szczeniąt. Pomysł ten okazał się nader pomyślnym. Suczka chętnie poświęciła się karmieniu osieroconych prosiątek, te zaś ze swej strony suczkę uważają za prawdziwą matkę i chowają się znakomicie na nowym wikcie.



Jak wiadomo z doświadczeń, suki okazały się doskonałemi karmicielkami także młodych lwiąt, wylęgłych w menażeryach. Nasz obrazek przedstawia powyższy, niezmiernie ciekawy wypadek. Widzimy tu małe prosiątka i szczenięta w najlepszej zgodzie, ssące wspólną karmicielkę. Aby suce nie zabrakło pokarmu, inne roślejsze szczenięta odstawiono, a pozostawiono tylko jedno, które wraz z prosiaczkami ssie nadal swą rodzicielkę.

Ucieczka „obieżysasów“. Nasi robotnicy rolni są ogromnie wyzyskiwani przez Niemców, którzy płacą im po 2 marki dziennie bez utrzymania i wymagają 16 do 18 godzin dziennej pracy. Wobec tego — jak donoszą gazety w Królestwie Polskiem — ustawicznie wracają do zagród ojczystych większe i mniejsze gromady »obieżysasów«.

Cesarz Wilhelm kapelmistrzem. Znane są niezwykłe pomysły i wybryki cesarza niemieckiego. Niedawno zwrócił uwagę powszechną jako... kapelmistrz. W pewnej miejscowości kąpielowej nad morzem Bałtyckiem zaprosił gości kąpielowych na stojący w porcie statek cesarski i przyjął ich sutym obiadem, podczas którego objął kierownictwo kapeli i sam nią dyrygował.

Klęski od piorunów. W Landsbergu, nad rzeką Wartą, uderzył piorun w tamtejszy zbór protestancki. Płomienie objęły odrazu całą wieżę. Wspaniały, ale straszny był to widok, szczególnie kiedy dzwony, poruszone nadzwyczajnem gorącem, same poczęły dzwonić. Po krótkim jednak czasie wieża zapadła się, tworząc stos gruzów i grzebiąc pod sobą około dziesięciu ludzi rażonych piorunem. Podobny, lecz nie tak groźny wypadek zdarzył się też koło Tul, we Francyi, gdzie w czasie ćwiczeń w strzelaniu uderzył piorun w namiot kompanii 160 pułku piechoty. Piorun zabił kaprala i zranił ciężko 20 szeregowców. — W Arnstadt, w Niemczech, uderzył piorun we fabrykę przetworów mineralnych. Fabryka stanęła w jednej chwili w płomieniach. Dziesięciu strażaków pożarnych zostało zasypanych. Buchalter zginął w płomieniach.

Śmiertelne pokąsanie przez osy. Na wsi pod Berlinem bawiło się kilkoro dzieci, nie wiedząc, że zbliżyły się do gniazda osiego, które wyleciawszy ze swej kryjówki, rzuciły się na nie z taką zaciętością, że jedno skutkiem licznych pokąsań zmarło zaraz na miejscu, siedmioro zaś innych jest ciężko chorych.

Złodzieje na wakacyach. W pewnej wiosce rybackiej nad jeziorem w Brandenburgii złodzieje niemieccy urządzili sobie kolonię wakacyjną. Gdy o tem doniesiono policyi berlińskiej, ta wysłała zaraz na miejsce 100 urzędników kryminalnych, którzy wsiedli na kolej jako towarzystwo śpiewackie. Zbliżyli się oni też do tej wsi, śpiewając wesołe pieśni. Zdaje się jednakże, że tamtejsi złodzieje letnicy poznali się na rzekomych śpiewakach. Przy zarządzonych rewizyach znaleziono tam wprawdzie znaczną liczbę znanych dobrze policyi opryszków, których aresztowano, lecz nie znaleziono klejnotów, które wedle doniesienia do policyi, złodzieje mieli tam przechowywać.

Kradzież pół miliona rubli. Rosyjski bank państwowy w Petersburgu wysłał do swej filii w Chabarowsku 500.000 rubli w papierach i złocie. Gdy przesyłka nadeszła na miejsce przeznaczenia, znaleziono w wózku opatrzonym pieczęciami, które pozostały nienaruszone, skrawki papieru i kamienie. — Sprytni byli złodzieje, którzy z niezwykłą zręcznością skradli w drodze tak olbrzymią sumę i zatarli za sobą zupełnie ślady, policya bowiem, mimo wysiłków, nie wpadła na ich trop.

12-letni ojcobójca. W czernichowskiej guberni we wsi Noworopek 12-letni Piotr Kembow zamordował siekierą własnego ojca podczas gdy ten spał. Popełniwszy zbrodnię, potworny chłopiec zakopał zwłoki ojca do dołu i zatarł ślady morderstwa. Dopiero na drugi dzień przyznał się do morderstwa przed matką. Nieletni zbrodniarz podał, że zabił ojca w złości za to, że go często bił.

Głód w Rosyi. W guberniach rosyjskich, w pobliżu Azyi, zbliża się do ludności straszna klęska: głód. Z guberni samarskiej, z powiatu bugulmieńskiego, donoszą do gazet rosyjskich: Powiat bugulmiński wygląda w tym roku rozpaczliwie. Na wiosnę można się było spodziewać niezłego urodzaju żyta, potem jednak przyszły upały i wszystko wypaliły. Sprzątnięto samą tylko słomę. Zboża jare zupełnie zginęły, tak że nie było co zbierać. Tak samo przepadło zupełnie siano. Na domiar nieszczęścia zapasy przeszłoroczne wyczerpały się już prawie zupełnie. Ogromnej większości włościan zagraża głód.

Olbrzymia fabryka fałszywych rubli. Policya w Petersburgu otrzymała doniesienie, iż we wrześniu r. b. mają być przesłane z Anglii do Rosyi fałszywe banknoty trzyrublowe rosyjskie na sumę trzech milionów rubli dla rozpowszechnienia pośród robotników i biedniejszych klas ludności. — Istnieje więc w Anglii, prawdopodobnie w Londynie, tajna fabryka rubli, która wyrabia olbrzymie ilości fałszywej monety.

Znowu mąż jako wygrana. Za przykładem Amerykanów współpracownik pewnego pisma rosyjskiego, wychodzącego w Odessie, ogłosił w swojej gazecie loteryę, w której on stanowi główną wygraną. Niestety, władze nie pozwoliły na taką amerykańską loteryę i młody dziennikarz jeśli się ożeni, to bez jej pośrednictwa.

Wierność wypędzonego psa. Nad włoskiem jeziorem Garda mieszkała bieżącego lata żona pewnego bankiera z Frankfurtu z małą córeczką. Niedawno temu przybył do nich ojciec, przywożąc ze sobą z domu ogromnego psa z rasy »bernardynów«, który bardzo kochał dziewczynkę, lubiącą się z nim bawić całemi godzinami. Gdy pan z psem wysiedli ze statku i znaleźli się niebawem w willi, gdzie przebywała bankierowa z córeczką, na widok dziecka pies prawie że oszalał z radości. Podczas tej całej uciechy zdarzyło się, że znalazła się w sieni nad schodami, pies łasząc się, popchnął ją i dziecko spadło ze schodów, pokaleczywszy się dotkliwie. Oczywiście, że pies nie był temu winien. Popędliwy pan jednak, widząc dziecię potłuczone, porwał za kij, zbił psa na kwaśne jabłko i wypędził z domu.



Przez dwa dni psa nie było; błąkał się w pobliżu biedak o głodzie. Tymczasem dziewczynka, której nic się nie stało, i za psem bardzo tęskniła, wyszła bez dozoru na brzeg jeziora i pośliznąwszy się, wpadła w wodę. Szczęściem nasz poczciwy pies znajdował się właśnie niedaleko. W okamgnieniu skoczył w głęboką toń jeziora i schwyciwszy dziecko zębami za sukienkę, przyniósł na podwórze domu. Uszczęśliwieni rodzice ujrzawszy ten dowód dobroci i wierności szlachetnego zwierzęcia, nie posiadali się z radości. Dziewczynka wnet oprzytomniała, a pies, który za baty, wypędzenie i głód, tak się odwdzięczył, był przedmiotem niezwykłych pieszczot

i czułości pana i pani. Zapewne w duszy ów bankier musiał się porządnie wstydzić swego postępku, pies bowiem, gdyby mówić umiał, mógłby mu powiedzieć: ty na mnie kamieniem, ja na ciebie chlebem Obrazek nasz przedstawia chwilę, gdy pies przynosi rodzicom uratowane dziecię.

Śmierć 50 dzieci w kąpieli. W niewielkiej miejscowości Arena, we Włoszech, wydarzył się wstrząsający wypadek zatonięcia 50 kilkunastoletnich dzieci. W niewielkiej rzece podmiejskiej kąpało się pod okiem starszych 52 dzieci, które w wodzie szukały ochłody przed upałem. Nagle nadpłynęła z pobliskich gór silna fala, spowodowana prawdopodobnie ulewnym deszczem w górze rzeki, i zanim zdołano pospieszyć z pomocą kąpiącym się, uniosła 50 dzieci ze sobą. Cały ten wypadek, trwający niespełna minutę, zdarzył się w oczach kilkunastu dorosłych osób, przeważnie rodziców, których rozpacz nie miała granic.

Cholera. We Włoszech nie wygasła cholera, która już ubiegłego roku panowała w południowych częściach tego kraju, w Neapolu i sąsiednich okolicach. W roku bieżącym najwięcej zabiera ofiar w Wenecyi, która znajduje się w bezpośredniem lądowem i morskiem połączeniu z austryackiem miastem portowem Tryestem. Mimo środków ostrożności i sprężystości władz dostała się też w ostatnich czasach do Tryestu, gdzie kilka osób już zmarło.

W Konstantynopolu, w Turcyi, cholera strasznie grasuje. Setki ludzi ginie od zarazy każdego tygodnia. W innych miastach tureckich cholera również się szerzy groźnie, w wojsku zabiera dziennie po kilkudziesięciu żołnierzy.

Ukarana gadatliwość sędziego. W jednym ze sądów w Paryżu zdarzył się następujący zabawny wypadek: Sędzia przesłuchiwał świadka, który chciał zacząć zeznania od słów: mnie się zdaje...

— Proszę mi odpowiadać na moje pytania słowami: tak lub nie. Co się panu zdaje, to dla sądu jest zupełnie obojętne. Mnie naprzykład zdawało się jeszcze przed chwilą, że mam zegarek przy sobie, a tymczasem przypomniałem sobie, żem go zostawił w domu na nocnym stoliku. Proszę mi tedy powiedzieć tylko, co pan wie na pewno.

Świadka przesłuchano, wydano wyrok, rozprawa się wreszcie skończyła; sędzia udał się do domu. Żona przywitała go słowami:

— Co się stało, żeś tak posyłał po zegarek? Czterech ludzi było po niego.

Straszne podejrzenie nasunęło się sędziemu:

— Aleś ty go im nie wydała?

— Owszem, pierwszemu, który przyszedł: kazałeś mu przecież na dowód, że od ciebie przychodzi powiedzieć, że zostawiłeś zegarek na nocnym stoliku...

Sędzia, dając za przykład świadkowi własny zegarek, o którym »mu się zdawało«, że go wziął, a zostawił w istocie w domu, dał sposobność przysłuchującemu się rozprawie złodziejowi ukradzenia zegarka pod doskonałym pozorem, że pan sędzia po niego posyła. — Tak ukarało sędziego jego własne gadulstwo.

Wrota zabiły pięciu ludzi. W pewnej wsi francuskiej sześciu robotników, pracujących w majątku ziemskim, ukryło się przed burzą pod okapem wielkiej szopy na siano, stojącej w otwartem polu. Nagle wicher wysadził z zawias ciężkie wrota szopy, tak że spadły na robotników. Pięciu z nich wrota zabiły na miejscu, szóstego zaś przewieziono w stanie niebezpiecznym do szpitala.

Trzy księżniczki na latawcu. Kobiety już coraz częściej odważają się wsiadać na maszyny latające. Niedawno w Anglii przejechały się w powietrzu trzy księżniczki niemieckie. Lot trwał około 15 minut, przyczem maszyny wznosiły się do wysokości 500 stóp. Księżniczki po wylądowaniu były bardzo zadowolone z wyprawy powietrznej, twierdząc, że na znacznej wysokości wcale się nie bały.

Odbudowanie Konstantynopola. Zaraz po strasznym pożarze stolicy Turcyi, o którym donieśliśmy w »Roli«, zakrzątnięto się około przygotowań odbudowy miasta. Według obliczenia tymczasowego spłonęło około 7000 domów i sklepów; od 60 do 70 tysięcy ludzi zostało bez dachu. Według planu zupełnego odbudowania spalonych dzielnic, wszystkie nowe domy mają być murowane i zaopatrzone w żelazne belki. Budową nowych dzielnic zajęłoby się nowe towarzystwo finansowe, a ponieważ nie brak ani materyałów, ani sił roboczych, więc tylko od ściągnięcia kapitałów zależne byłoby rychlejsze czy późniejsze rozpoczęcie budowy. Spalone dzisiaj dzielnice, które tworzyły prawie wyłącznie łatwo pożarowi ulegające drewniane domy, w przyszłości nie byłyby więc tak łatwo na pastwę ognia narażone. Myślą też w Konstantynopolu o lepszem zorganizowaniu straży pożarnych na sposób europejski.

Osobliwa kara śmierci. Stany Zjednoczone Ameryki północnej są krajem wielostronnej wolności, nic nie krępuje wolności obywatela amerykańskiego, oczywiście z wyjątkiem prawa, które nie pozwala oszukiwać, kraść i zabijać. Poza tem obywatel Stanów może korzystać z bardzo rozległych swobód. W razie skazania na śmierć, może sobie wybrać taką, jaka mu najwięcej dogadza. Nie jest to wybór przyjemny, ale bądź co bądź stanowi także pewne prawo. Dość często skazańcy, szczególnie w stanie Newada lub Utah, wybierają rozstrzelanie. Egzekucya ta odbywa się w następujący sposób:



W obszernej izbie więziennej, służącej do tego celu, sadzają skazanego na stołku przy ścianie, przywiązują mu ręce i nogi, zawiązują oczy, obecny zaś lekarz w miejscu, gdzie jest serce, przytwierdza szpilką białą kartkę. Żołnierze, aby im oszczędzić widoku ofiary, stają za zasłoną, w której jest zrobionych pięć otworów. Żołnierzy bowiem bywa przy egzekucyi pięciu. Aby zaś żaden z nich nie był pewnym, że jego kula zgładziła ze świata skazańca, z naboju jednego karabinu wykręcają kulę. Karabiny biorą żołnierze jak losy na loteryi, żaden nie wie, czyj nabój jest ślepy i przez otwory w zasłonie, na dany znak przez komendanta, strzelają w serce delinkwentowi. Rzecz prosta, że cztery kule wystarczają zupełnie, aby zbrodniarz natychmiast żyć przestał. — Obraz takiego rozstrzelania przedstawia nasza rycina.

Amerykański siłacz. Olbrzymią siłą odznacza się niejaki Michał Manser, cukiernik, w Wooster w Stanach Zjednoczonych. Jak donoszą pisma, łamie on z łatwością grube podkowy i sztaby żelazne, a z grubych gwoździ stalowych pozwijał w palcach ogniwa i zrobił z nich łańcuch. Półdolarówki może

zwijać w palcach, jakby były z papieru robione. — Właściciel jednego z cyrków ofiarował mu znaczną sumę pieniędzy za występy.

(R. Cz.) **Rozkosze w Ameryce**. Jeden z naszych przyjaciół w Ameryce pisze nam: Jeżeli ktokolwiek miałby zamiar udać się do Ameryki, niechaj się powstrzyma, a szczególnie do dużych miast, jak Chicago, bo to tak ludnością przepełnione, że takiemu świeżemu emigrantowi nie sposób roboty dostać, bo pod każdą fabryką można liczyć na setki. Fabryki idą licho, a co się tyczy roboty, to miastowe i uliczne w tym roku urządzają strajk za strajkiem a niedawno był dotkliwy strajk krawców, później ceglarzy, potem murarzy, to znów cementarzy itd. Tak lato zejdzie, aż trudno przyjść do centa. Dużo jest takich, co nie mogą wyżyć.

Niema tam rozkoszy w starym kraju, ale i w nowym nędza niejednego połechce. Sam słyszałem niejednego, że wolałby w starym kraju zjeść postnego kartofla, jak tu mięso, więc jeżeli komu nie jest konieczne, niech się zatrzyma do lepszych czasów, bo w tym roku to jeszcze, jeszcze, lecz w przyszłym to zapowiadają straszną nędzę. A więc baczność, Rodacy, nie lećcie na ślepo w nędzę, bo jej i w starym kraju macie dosyć. Ale swoja nędza milsza niż obca. Wasz krajan *Rafał Czech.*

Zaciekłość przeciw murzynom. W Ameryce są murzyni nieustannie przedmiotem nienawiści białych, którzy im na każdym kroku okazują pogardę, nie uznając prawie za ludzi. W pewnem mieście w Stanach Zjednoczonych, w wagonie sypialnym aresztowano dwie murzynki zato, że się ośmieliły zająć miejsce pomiędzy białymi pasażerami, co się sprzeciwia tamtejszemu prawu. Stawione przed sędziego murzynki skazane zostały na 25 dolarów kary każda. W stanie Louisiana istnieje prawo nie pozwalające murzynom i murzynkom zajmowania miejsca w wagonach sypialnych razem z białymi. Mają oni oddzielne wagony.

Odważna podróżniczka. Przed rokiem zginął w głębi Afryki, zamordowany przez dzikich krajowców, pewien Anglik, nazwiskiem Macleod, który piastował wyższą godność w rządzie angielskim. — Zostawił w ojczyźnie niedawno poślubioną żonę, która po stracie męża nie mogła z żalu się uspokoić. Mimo grożących niebezpieczeństw postanowiła koniecznie dotrzeć do jego grobu. Przedsięwzięła zatem w bieżącym roku zuchwały plan podróży przez najdziksze okolice Afryki środkowej.



Nie jest to podróż, na którąby się ważył nawet niepodszyty tchórzem mężczyzna. Nietylko niema kolei, ale nawet jakich takich dróg, po którychby można przejechać wozem. Trzeba przebywać gąszcze leśne, knieje, przeprawiać się przez rzeki i strumienie. Jak widzimy na naszym obrazku, Angielkę naszą niosą w lektyce murzyni przez nią najęci, pochód zamykają kobiety, niosące żywność, na przedzie zaś idą z pewnością ludzie uzbrojeni, którzy przekonują się, czy okolica bezpieczna. Na taką szaloną podróż potrzeba, co prawda, wiele odwagi, ale też i wiele, bardzo wiele pieniędzy.

Jak się wylęgają węże? Wiadomo, że z jajek, składanych przez samice w miejscach ustronnych i bezpiecznych, lecz nie udało się dotąd badaczom przyrody podpatrzeć tej ciekawej chwili. Dopiero niedawno temu pewien Anglik nietylko, że widział to na własne oczy, ale nawet odfotografował. Był on w londyńskim ogrodzie zoologicznym, to jest takim, w którym chowają się najrozmaitsze dzikie i osobliwe zwierzęta, ptaki i gady.



Zatrzymał się właśnie w oddziale dla wężów, gdy jaja, znajdujące się na pościelisku, wydały nieznaczny trzask i w szczelinach skorup pojawiły się łuskowate łebki małych wężów. Mając przy sobie przypadkowo aparat fotograficzny, skierował go ku gniazdu z jajami i chwycił na płytę ciekawy ów moment, który wiernie przedstawia również nasz obrazek.

Spotkanie parowca z górą lodową. Pewien parowiec osobowy angielski, który dnia 7 sierpnia stanął w Nowym Jorku, miał na oceanie Atlantyckim niebezpieczne spotkanie z górą lodową. Siedziano właśnie przy obiedzie, a maszyny wstrzymano z powodu mgły gęstej, gdy nagle parowiec wstrząsnął się gwałtownie, a na przedni pokład jego runęły ogromne bryły lodu. Kapitan rozkazał natychmiast cofnąć się całą siłą pary, spostrzegłszy, że okręt wrył się w górę lodową, którą we mgle spostrzeżono zapóźno. Gdy wreszcie zdołano oswobodzić okręt, okazało się, że przednia jego ściana jest wgnieciona na 15 stóp, a woda wdziera się gwałtownie do wnętrza. Spadające bryły lodu zraniły ciężko kilku podróżnych i zagrzebały marynarza, stojącego na przodzie parowca. Jak opowiadają podróżni, którzy wybiegli na pokład, góra lodowa miała ze sto stóp wysokości i kilkaset stóp długości.

Lekki nowożeniec. Najszczuplejszy i najdrobniejszy mężczyzna brał niedawno temu ślub w Chicago w Ameryce. Malutki ów nowożeniec nazywa się Artur Atherton a ma 24 lat wieku. Chociaż ma przeszło 5 stóp wzrostu, waży jednakże tylko 38 funtów. Ożenił on się z panną Blanką Burkley, liczącą 19 lat, ważącą 138 funtów. Można z tego wnosić, jak wielką przewagę będzie mieć żona nad mężem, gdy waży o 100 prawie funtów więcej od niego. A gdyby ci młodzi państwo nawet najbardziej się kochali, to z pewnością ona o nim nikomu nie powie: »tak mnie kocha, że mnie na rękach nosi«, boby nikt w to nie uwierzył. Natomiast ona może z łatwością swego męża nosić na rękach.

Długowieczność. W jednem z małych miast wschodnich Stanów Zjednoczonych żyje niejaki Józef Frey, Polak, urodzony w Warszawie w r. 1800, a więc liczący obecnie 111 lat. Frey przybył do Ameryki, mając lat 28, ożenił się i przyjął obywatelstwo amerykańskie. Obecnie ma 42 wnuków i 7 prawnuków i jest zupełnie zdrów i rześki.

Podwodni rabusie. W dzisiejszych czasach już nietylko na powietrzu ale i pod wodą bandyci dokonują morderstw i rabunków. Oto z Indyj donoszą pisma angielskie co następuje: Na rzece Gumo, która uważana jest przez krajowców za świętą i w której z tego powodu kąpią się pielgrzymi w ubraniach, przyozdobieni w kosztowności, wydarzyło się w ostatnich czasach kilka wypadków tajemniczego utonięcia. Niedawno kąpała się w tej rzece pewna księżniczka indyjska, przybrana w kostyum bogato przetykany złotem i obrączki wysadzane drogimi kamieniami. Nagle księżniczka zniknęła pod wodą. Na ratunek pospieszyli jej dwaj pielgrzymi, znajdujący się opodal, lecz i oni zniknęli z powierzchni wody. Dopiero w trakcie dalszych poszukiwań ujęto pewnego człowieka, który należał do bandy podwodnych rabusiów i morderców. Rabusie ci czyhali na pielgrzymów ukryci pod wodą, z długą rurką trzcinową w ustach, wychodzącą na powierzchnię wody, która zezwalała im czerpać powietrze, na oczach zaś mieli przepaski, opatrzone cienkiemi szybkami. Gdy ujrzeli jakiego bogatego pielgrzyma, ciągnęli go za nogi do wody i topili, by potem obrabować go z kosztowności.

Bracia Włościanie! Podaję też do Waszej wiadomości, iż już obecnie przygotowuję do druku na rok 1912 mój **Noworocznik polski ilustrowany**, który zawierać będzie Żywoty znakomitych mężów w Polsce. — Noworocznik ten, z rzędu 6-ty, przeznaczam dla Was, Bracia Włościanie, bo Wy zawsze sercem szczerem przyjmujecie ten skromny mój podarek noworoczny.

Poproście Księży Dobrodziei lub PP. Nauczycieli, by dla swych wiosek już dziś u mnie zamawiali »Noworocznik polski«, a w jesieni przyślę go na ich ręce darmo i opłatnie.

Bóg z Wami! ***W. Bełdowski***
w Krakowie, ul. Starowiślna 26.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: J. Pasek Błotnicki w D.: Kalendarz na rok 1912 jest w druku. Gdy tylko druk zostanie ukończony podamy jego treść w »Roli«. — Jan Łojek w R.: Zagadki otrzymaliśmy i umieścimy je. — Wojciech Żak w P.: Przyjdzie i na nie kolej — tylko powoli. Jan Maćków w S. W: Czeki wysyłamy, prosimy rozpowszechniać »Rolę«. — Karol Dudek w Z: Najlepiej zwrócić się do jakiej wielkiej firmy n. p. Syndykat rolniczy w Krakowie plac Szczepański. Arkadyusz Szarek w S. W.: Dziękujemy serdecznie za życzliwe uwagi, na które odpowiemy w wolniejszych chwilach listownie. Pospiech w drukowaniu »Roli« jest wielki, gdyż we czwartek ją drukujemy, zeszywamy, obcinamy i wysyłamy, aby nawet do najodleglejszych stron w kraju na niedzielę doszła. — Rafał Czech w Chicago: Wysłaliśmy. Cieszy nas, że się Panu tak »Rola« podoba, jak również pochwały pana redaktora Dyniewicza.

Potwierdzenia prenumeraty:

Prenumeratę półroczna po dwie korony przysłali PP.:

Schiemba Peter z S., J. Mastalski z Sz., Wawrzyczek Karol z W. K., Witalis Żołna z D., Józef Niemiec z Z., S. Stolarzewicz z D., Budka Piotr z B., Durbos Piotr z B., Marszałek Józef z M.

Oprócz tego nadesłali PP.: Gazda Jędrzej z B. (2 K. 40 h.), Mucina Józef z N. L. (1 K. 67 h.), Moskal Wincenty z J. (1 K.), Piotrowska Karolina (2 K. 60 h), Janiga Agata z G. (1 K.), Jędrzej Moc z P. (1 K.), Pawłowska Zofia z Z. (1 K.), Idzirz Wojciech z B. (1 K.).

Z powodu święta Wniebowzięcia N. Maryi Panny targ na bydło i zboże zamknięty.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Każdą reklamacyę wraz z reklamowanym numerem posyłamy do dyrekcyi poczt we Lwowie.

Zagadki do nagrody.

1. ARYTMOGRYF.

(Ułożył I. Włodek z Łęgu).

			1			
	11	10	2	9	5	
	12	9	3	2	10	
13	8	2	4	9	11	14
	15	2	5	12	16	
	1	5	6	8	12	
	5	17	7	16	6	
	12	17	5	9	5	
18	19	1	2	10	6	5
	20	21	8	2	10	
	20	8	9	22	3	
			10			

Znaczenie wyrazów: 1) Litera, 2) Instrument, 3) Norniki, 4) Imię męzkie, 5) Latacze powietrzni, 6) Miasto w Galicyi, 7) Imię męzkie, 8) Imię żeńskie, 9) Imię żeńskie, 10) Narzędzia kowalskie, 11) Wielka woda, 12) Litera.

Środkowe litery czytane z góry na dół dadzą nazwisko króla polskiego.

2. SZARADA.

(Ułożył A. Setmajer z K.).

Pierwsze to zwierz groźny,
Żyje kędy nie wie e wiatr mroźny,
Drugie to zwierzę uczciwe, dobre,
Które nam służy w dobrej i złej doli,
Trzecie się mówi często o sobie,
Całość to kwiat, kwitnie w letniej dobie.

3. ZAGADKA rachunkowa.

(Nadesłał Jan Burdak z Ł.).

Dwaj chłopcy otrzymali w dzień Nowego Roku podarki równej wartości od rodziców. Jeden z nich dostał atlas wartości 4 Kor. i 20 zeszytów; drugi zaś książkę wartości 3 Kor. i 24 zeszytów. Ile kosztował jeden zeszyt?

4. KWADRAT.

(Ułożył Jantek z Bugaja).

A	a	a	a
a	a	a	d
d	m	m	m
m	o	r	r

5. SZARADA.

(Ułożył Józef Kobylański z B.).

Pierwsze: tak mówimy, gdy coś dajemy,
Drugie: bliski krewny konia i osła,
Całość często na dnie rzek znajdujemy,
Woda to z różnych okolic naniosła.

6. ZAGADKI.

(Ułożył Józef Kobylański z B.).

1.

Wprost miara, nią mierzymy nasze pola,
Wspak z chmur uderza jeśli Boska wola.

2.

Wspak jestem ja ptakiem,
Wprost pijesz ze smakiem.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 25 sierpnia 1911 roku. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 32 *Roli*: 1) Zagadki rach.: 1) **Chłopiec miał lat 18,** 2) **3 chłopców, 4 dziewczęta,** 3) **kur w kojcu było 20 na podwórzu 40.** 2. Szarada: **Równowaga.** 3. Drabinki: **Jagiełło, Krzyżacy, Grunwald.** 4. Dostawianka: **Kraków.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Pan Andrzej Czachor nam zadał
W »Roli« tak trudne zadania,
Żem się dużo narachował,
Nimem posłał rozwiązania.
Wreszcie myślę tak rozwiązać:
Chłopiec ma lat ośmnaście,
A gdyby mu dziesięć dodać
Będzie ośm no i dwadzieście.
To dwa razy więcej... Ale —
Cztery siostry i trzech braci,
Dobrze to odgadłem wcale!
Lecz znów kury!... Bierz je kaci;
Sześć ich w kojcu być musiało,
Na podwórzu zaś trzy będzie,
»Równowaga« mówmy śmiało —
Bardzo potrzebna jest wszędzie.
Znów drabinki, jak dla żaków.
Lecz się i to wnet rozwiąże,
Jagiełło pobił Krzyżaków
Pod Grunwaldem. Teraz dążę
Do Krakowa, by do »Roli«
Oddać swoje rozwiązania,
Gdyby to było po losu woli
Dostałbym co z losowania.

Józef Ralski z O.

2.

Był w Polsce król dzielny,
A zwał się Jagiełło,
Krzyżaków sromoty,
Grunwald jego dzieło.
Krak też Niemców bijał,
I smoka uśmierzył,
Umierając, córce
Gród Kraków powierzył.
Tyle latek miała,
Co ów chłopak miły:
Ośmnaście wiosen
Lata jej liczyły.
Równowagi także
Wtedy nie straciła,
Gdy Kraków obległa
Rydygiera siła.
A gdy mnie w nagrodę
Los książką obdarzy,
Dam ją do czytelni,
Niech ją czyta każdy.

Jakób Paff.

3.

Trudna to sprawa ta matematyka,
Na trudności człowiek napotyka,
W końcu znalazłem wyjście,
Gdyż chłopiec ma lat ośmnaście.
W rodzinie jest dzieci niewiele:
Trzech synów, cztery córki odgadłem [przyjaciele?
Kojec kur dwadzieścia mieści,
Podwórze aże czterdzieści.
Wielkie ma zastosowanie waga,
Lecz ważniejsza równowaga,
Gdy ją bowiem pijak straci,
Nogą do rowu poleci.
Słynie Chrobry z swego męstwa,
Jagiełło ze swego zwycięztwa;
Pobił Krzyżaków pod Grunwaldem,
Wraz z swym bratem Witoldem.
Ot Krzyżak cofał się jak rak,
Wspominając, że go pobił Krak.
Co założył miasto Kraków,
Słynną stolicę Polaków.

Józef Chromik.

4.

Że nie rozwiążę mniemacie?!...
Chłopiec lat ma ośmnaście.
Trzej chłopcy — cztery dziewczyny
Zdrowe śliczne, jak maliny.
W kojcu było kur dwadzieścia,
Zaś na podwórzu czterdzieści.
W szaradzie kupiecka waga,
Całość znaczy równowaga.
Jak sławne dokonał dzieło,
Gdy Krzyżaków król Jagiełło
Pod Grunwaldem srogo pobił,
Wieczną sławę sobie zdobył!
W dostawiance ar jest miarą,
Kraków zaś dzielnicą starą
W którą już zdążają fury
Na wesele Maćka Bzdury.

Koło Macierzy szk. z St.

5.

Rachunkowa przykra gleba,
Filozofa chyba trzeba...
Równowaga u pijaka,
Będzie sobie druga taka.
Pamiętają dzieje szlaki,
Którymi szedł na Krzyżaki
Nasz bohater król Jagiełło
Pod Grunwald, polskie dzieło.
Doskonała czwarta zwrotka,
To już nie żart ani plotka,
Rozłóż Kraków na kawały
A zobaczysz model cały.

Józef Kulka.

Oprócz tego w oznaczonym czasie nadesłali rozwiązania PP.:

J. Moś z Cz., R. Kula z K. m, J. Inglot z S., S. Rakoczy z L., K. Szeliga z B., F. Puk z Ł., W. Idzik z B., Teper Fr. z K. m., J. Brzeziański z K., A. Żebrok z B., F. Młot z T., J. Gąsior z S., F. Kłotka z O., Z. Bogdański z I., J. Wojnar z M. G., A. Szarek z S. W., F. Łokowski z T., S. Kumięga z T., J. Łojek z R., J. Krukurka z K., Kazim. Stachura z K., W. Łanoszka z S., Jaś Błotnicki z D., J. Wolny z R., W. Kapelan z B., A. Czachor z C., J. Woś z W., M. Strachocki z S., J Misiołek z K., Mierzwa K. z H., J. Szajda z T., J. Adamczyk z B., J. Hirszberg z K., Fr. Firla z G. S., Jan Pożdał z J. (wierszem), A. Bezokówna z K. m., W. Stefański z G., Bożek J. z J., Burghardt z S., Wojciech Żak z P., Teodor Buryan z Ł., (wierszem), Adam Zieliński z M., Józef Kajzer z J.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Duch puszczy*** wylosował p. **Jan Łojek** z R., zaś drugą p. t. ***Gdzie słońce gaśnie*** p. **Jan Misiołek** z K.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.